

453

Defekt brak innych woz

Rok I.

Wilno, 15 Czerwca 1924 r.

Nr 4.

Adres Redakcji:

Wileńska 29 m. 10.
Otwarta codziennie
od 11—1 przed poł.

Prenumeratę przyjmuje
księgarnia Gebethnera i Wolffa
Adama Mickiewicza 6.

PROMIEN**Cena ogłoszeń:**

$\frac{1}{1}$	str. przd tekst.	160	zł.
$\frac{1}{2}$	" " "	80	"
$\frac{1}{4}$	" " "	40	"
$\frac{1}{8}$	" " "	20	"
$\frac{1}{1}$	str za tekstem	100	"
$\frac{1}{2}$	" " "	50	"
$\frac{1}{4}$	" " "	25	"
$\frac{1}{8}$	" " "	15	"

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI Z DODATKIEM DLA DZIECI

Prenumerata miesięczna 1.500.000 mk., cena N-ru pojedynczego 1.000.000 mk.
Dodatek dla dzieci Nr pojedynczy 250.000 mk.



Adres Redakcji:

Wileńska 29 m. 10.
Otwarta codziennie
od 11—1 przed poł.

Prenumeratę przyjmuje
księgarnia Gebethnera i Wolffa
Adama Mickiewicza 6.

PROMIEN**Cena ogłoszeń:**

1/1 str. przd tekst.	160 zł.
1/2 " " "	80 "
1/4 " " "	40 "
1/8 " " "	20 "
1/1 str. za tekstem	100 "
1/2 " " "	50 "
1/4 " " "	25 "
1/8 " " "	15 "

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI Z DODATKIEM DLA DZIECI

Prenumerata miesięczna 1.500.000 mk., cena N-ru pojedynczego 1.000.000 mk.

Dodatek dla dzieci Nr pojedynczy 250.000 mk.

ZASŁUŻENI OJCZYŹNIE.**Doktor Teresa z Ciszkiewiczów Ciszkiewiczowa.**

1845 — 1921.

W dziejach Polski wije się nie szczerozłota głośnych i cichych zasług, składanych przez rzesze u stóp Matki Ojczyzny. Obok gwiazd jaśniejących wielkim blaskiem, Chrobrych, Czarnieckich, Konarskich, Reytanów, stoi tłum bezimienny, a nieprzeliczony, który nie jest tłem szarem, ale siłą tamtych, choć bez głosu i bez nazwiska. Bez tej siły i słońca nie miałyby blasku. Jednostka to potęga, siła twórcza, lecz musi mieć materiał, aby tworzyć.

Takie siły i bezimienne zasługi istniały u nas zawsze, okres niewoli jednak podwoił ich wartość, a może nawet liczbę. Gorące serca dawniej były ofiarne tylko i nieznanne,—przez ostatnie półtora wieku ginęły deptane ciężką stopą wroga. Dzieje ich wypisane w mrokach Cytadeli, w podziemiach więzień, na śniegach Sybiru, na szubienicach, które w proch się rozsywały.

Byli jednak i tacy, których los oszczędził: uniknęli rozbicia, mimo najgorliwszej służby. Do tych należy doktor Teresa Ciszkiewiczowa.

Urodzona w ziemi Kowieńskiej, córka Jana i Zofii z Wołodków, w najwcześniejszej młodości rozpoczęła służbę, biorąc czynny udział w powstaniu r. 63. Oczywiście nie należała do partji, ale była gorliwym, zręcznym pośrednikiem. Wozila śmiało listy i rozkazy, żywność, broń nawet. Jej przytomność umysłu budziła podziw swoich, zabezpieczała skutecznie od wroga.

Po upadku powstania popłynęło życie znów cicho, w jedności i miłości z ludem, którego wraz z matką była opiekunką i lekarką.

Od chwili kiedy dla nauki synów państwo Ciszkiewiczowie zamieszkali w Rydze, Teresa pomagając braciom, przechodziła wraz z nimi kurs gimnazjum państwowego, ucząc się sama w domu i unikając tym sposobem rosyjskiej szkoły średniej.

Zawód lekarza umiłowała wcześniej i obrała sobie jaką drogę życia. Sprzeciwu ze strony rodziców nie było. W r. 1878 zdała egzamin w Bernie na wydział lekarski, dzięki niepospolitym zdolnościom skoń-

czyła go szczęśliwie, a po kilkoletniej praktyce w Bernie i Dreźnie, pragnąc wrócić do kraju, zdała w Petersburgu państwowy egzamin i osiadła na stałe w Warszawie.

W tym czasie, około r. 1883, wyszła zamąż za kuzyna, który umarł w lat parę, pozostawiając na jej opiece pasierby.

Teresa Ciszkiewiczowa nie była pierwszym doktorem-kobietą w Warszawie, poprzedziła ją Tomaszewicz-Dobrska, i — jak mówiła nieraz — utorowała jej drogę.

Poznałam Ciszkiewiczową przed rokiem 1890. Wezwana do chorej, przyszła koło 10-ej wieczorem, a wyszła po północy.

Czy to zabieg lekarski wymagał tyle czasu?

Bynajmniej. Lecz przy tej sposobności poruszyła w rozmowie z mężem chorej tysiąc kwestji narodowych i społecznych, stała nam się odrazu bliską.

I nie był to wyjątek.

Na wieczornych przyjęciach czekało w poczekalni zawsze kilka kobiet długiej, długiej kolei, bo konferencja z każdą trwała godziny całe.

— Gdwyby mi szło tylko o leczenie chorób, nie byłabym może doktorem — mówiła. Mnie obchodzi dusza pacjentki, i tam znajduję nieraz groźniejszą zarazę, którą leczyć mam obowiązek.

Dlatego między nią i pacjentkami zawiązywał się zwykle bliski i trwały stosunek.

Pacjentek miała dużo i dochody znaczne, a rękę bardzo hojną zarówno dla rodziny, jak na cele publiczne. Rachować nie umiała.

Zaufanie budziła wielkie. Chore przyjeżdżały z dalekiej prowincji, ubiegały się o nią warszawianki, leczyła żony kilku dygnitarzy, których nieraz umiała spożytkować, wreszcie cisnął się tłum biedoty. Nie odmawiała pomocy nikomu, bogaty czy ubogi jedną miał dla niej wagę, prócz porady zostawiała pieniądze, lekarstwa, nie żałowała czasu i fadygi na dalekie przedmieścia. i to do ostatniej chwili, do ostatniej choroby, tak że nawet powiedzieć można, iż to lekceważenie sił własnych zgon jej przyspieszyło.

Nic dziwnego, że znaną była w szerokich kołach różnych warstw społecznych.

Szlachetna i gorąca entuzjastka, pomimo całej bystrości umysłu niezawsze słusznie oceniała ludzi.

Jej prawość nie podejrzewała obłudy, i stąd zdarzały się rozczarowania, a nieraz przykry zawód. Lecz znosiła to mężnie, cytowała księgi Pielgrzymstwa: jeżeli pośród uczniów Chrystusa był Judasz, cóż dziwnego, że człowiek się myli.

Bliższe węzły zadzierzgnęły się pomiędzy nami na tle ruchu kobiecego i związku Koła Kobiet Polskich.

Koła czy Stowarzyszenia? Nie pamiętam. Wogóle dzieje 10 czy 12 letniej działalności tego związku jedna Ciszkiwiczowa mogłaby opisać dokładnie, — niestety chociaż była o tem mowa, nie doszło do wykonania.

Początkiem był zamiar pani Reinszmitowej stworzenia w Warszawie filii feministycznej Unji Kobiet, która miała siedzisko w Paryżu. Zgromadziło się kilkadziesiąt mniej więcej znanych kobiet z nauczycielstwa i innych zawodów, nie wiedziałyśmy jednak, o co chodzi. Pomoc wzajemna, praca oświatowa, obrona naszych praw i skromne składki. Po paru miesiącach rzecz się wyjaśniła i odrazu nastąpił rozłam.

Przy p. Reinszmitowej pozostała garstka, większość pod przewodnictwem Kasyldy Kulikowskiej stworzyła Koło Polek. Na prezesa i reprezentantkę zaprosiliśmy Ciszkiwiczową, i na tem stanowisku wytrwała do końca, nie szcędząc pracy, energii i czasu, narażając się więcej od nas, gdyż jako reprezentantka, odbierała listy z zagranicy, adresowane „do Prezesa Koła Kobiet“. Było to dosyć w owych czasach, aby poznać się z Cytadela.

Działalność Koła była różnorodna. Wewnętrzna — głównie oświatowa. W samej Warszawie tajne nauczanie dzieci w drobnych kompletach obejmowało setki, a były lata, że przekraczało tysiąc. Lekcje prowadziły płatne nauczycielki, najczęściej w mieszkaniach ubogiej ludności — za opłatą, trzeba było trochę opłacać „stojkowych“ ale dzieci przechodziły szkołę polską.

Na prowincji zachęcałyśmy do tego dwory i nauczycieli ze skutkiem rozmaitym. To jednakże było początkiem zbliżenia się do nauczyciela wiejskiego, wychowanka rosyjskiego seminarjum, drżącego o posadę, chociaż lichy płatną, często bardzo ciemnego pod względem narodowym.

I tu znajdowaliśmy chętne do pracy jednostki. Były takie i wśród włościanstwa. Tu i ówdzie ksiądz dopomagał, dwór był wtajemniczony. Staraliśmy się dostarczać odpowiedniego czytania starszemu i młodszemu pokoleniu, umieszczaliśmy we wsi biblioteczkę, żądali sprawozdania z ruchu czytelników.

Wszystko to było trudne pod czujnym nadzorem strażników i policji, jednak się rozwijało, rozszerzało.

Była pewna ochrona pracy zawodowej, zwłaszcza ubogich szwaczek, dla których zdobywaliśmy letniska, nawet pomoc lekarską.

Na zewnątrz braliśmy udział w rozmaitych zjazdach kobiecych w Europie i Ameryce, przedstawiając wszędzie nasze położenie, dążenia, pracę i trudności. Tym działem kierowała osobiście Ciszkiwiczowa z wielką umiejętnością i energią.

Z czasem w łonie stowarzyszenia coraz wyraźniej ujawniały się dwa prądy — narodowy i socjalistyczny, i to doprowadziło do nowego rozłamu, a właściwie upadku Koła, które zjednoczyło swą pracę z pracą ogólnie narodową, w znacznej części wsięknęło ze swemi stosunkami i całą zdobyczą w T. O.

N. — Towarzystwo Oświaty Narodowej, powstałe znacznie później z ramienia Ligi Narodowej.

Poprzedziła to nowa faza w życiu Ciszkiwiczowej wstąpienie jej do organizacji politycznej.

Okolo roku 1890 powstał w Warszawie odłam Ligi narodowej, zawiązanej w Szwajcarii przez Dmowskiego, Balickiego, Jeża. Komisarz warszawski miał zadanie trudne: zgromadzić dostateczną ilość członków, pewnych, silnych przekonań i zdolnych do pracy. Pomyślał wkrótce o Ciszkiwiczowej, posłano mię na wywiad.

W pierwszej chwili stanowczo odmówiła. Nie ma czasu, a przytem toby paraliżowało inne pożyteczne drogi, których zaniedbać niechce. Po tygodniu jednakże zgłosiła się sama, proponując ze swojej strony paru członków, doskonale wybranych.

Od tej chwili z właściwą jej energią, entuzjazmem i bezgranicznym oddaniem rozpoczyna nową działalność. Prąd ten odbija się i w Kole Kobiet, szerzy Przegląd Wszechpolski i jego ideje, ogarnia Litwę i pozyskuje tam ludzi, Koło Kobiet dostarcza ludowi Polaka. Pozatem zawsze pierwszą w ważnej i mniej ważnej potrzebie, przez szereg lat jest jednym z najofiarniejszych, najgorliwszych członków,

Zjazd w Warszawie ze wszystkich trzech zaborów. Przyjeżdżają osobistości, które nie mają prawa wstępu do Królestwa. Tłum miejscowy, przeszło sto osób. Gdzie to pomieścić? Kto się chce narazić? Kto ośmieli się gwarantować bezpieczeństwo? Przedewszystkiem Ciszkiwiczowa. Ma zawsze duży salon do takiego właśnie użytku. Na schodach, na ulicy rozstawione czaty, wszystko załatwione pomyślnie.

Przyjeżdża delegat z Poznania, ze Śląska, z Pomorza. Oprócz porozumienia w cztery oczy, trzeba pokazać mu ludzi i nastrój. Zebranie towarzyskie u Ciszkiwiczowej. Koszt? Błahostka, nie pozwala o tem mówić. Ale to się powtarza — i kosztuje. Nikt jej w tem nie wyręcza. Jej dom istotnie ma wszystkie warunki.

Ktoś przejezdny — nielegalny — musi gdzieś nocować. Ona zawsze ma miejsce albo wskaże dobre. Płatny dostarczyciel przywiózł pisma z zagranicy, gdzie je złożyć? Najczęściej u niej.

— Do doktora każdy wejść może — zapewnia — obojgu nam będzie zależało na tem, żeby nie dowiedli niczego.

Niema rzeczy, którejby odmówiła organizacji, niema pracy, przed którąby się cofnęła. Zawsze u niej skład książek i pism nielegalnych, do niej zgłasza się obcy, który ma coś dostać.

Podejrzeń i rewizji uniknąć nie może, miała ją niejednokrotnie, ale traktuje z humorem. Skrytki ma pewne, nikt do nich nie trafi — przynajmniej w jej przekonaniu, a język tak obrotny, że sobie żartuje ze swoich przesładowców. Z każdej rewizji wychodziła cała, ani razu aresztowaną nie była.

Taniec w ogniu, taniec wśród mieczów — oto jej życie w tych latach. Nie jej jednej, lecz chyba ona jedna traktowała to z taką pełną humoru brawurą. Przyszły na organizację pogromy, ratowała, jak mogła i co mogła, przy pomocy swoich stosunków. Zawsze pewna, że złe przeminie, może my jeszcze doczekamy wiosny.

Łatwo wyobrazić sobie jej entuzjazm w czasie pierwszej rewolucji. Gasła pożar, lecz pełna nadziei, że u sąsiada splonie gmach niewoli.

Bojkot szkoły rosyjskiej popierała z całą energią, i na tem tle wynikły pierwsze nieporozumienia, kiedy Dmowski po latach paru chciał z nim skończyć.

Nakoniec rok 1914, wielka wojna. Porwały ją legjony, olśniła nadzieja. Rozdzieliły nas tak zwane orientacje. Nie zerwały jednak stosunku. Miałyśmy o tem nie rozmaiać, choć usiłowała mię zawsze nawrócić. Pracowałyśmy wspólnie nad zapewnieniem dachu i schronienia bezdomnym i zrujnowanym uchodźcom. Wiedziała, że treść naszych uczuć jest ta sama, choć drogi do celu widzimy odmienne.

W następnym roku zostałam odcięta od kraju, wróciłam po trzech latach, w r. 1918. Pierwszym gościem, którego w progach swych powitałam, była Ciszewiczowa. Serdeczna i gorąca, stary towarzysz pracy.

— Tak niewiele nas pozostało z dawnego pułku — żartowała — tak niewiele. Co życie złączy, rozdzielić się nie da.

Mówiła o przeszłości, była pod wpływem wspomnień. Prosiła, żeby ją odwiedzić, polityki nie poruszała.

I ja nie będę tutaj mówić o niej. Zbyt wzburzone są jeszcze namiętności, nie możemy sądzić, uczyni to dopiero przyszłość. Serce jej było kryształowo czyste, w duszy nie partja, lecz miłość ojczyzny.

Kiedys jednak wspomniła o Izie Moszczeńskiej-Rzepeckiej, nazywając ją rozumną i krytyczną. Chciała widocznie, ażeby choć trochę poznała jej zapatrywania. Dla ofiarnej krwi legjonistów miała zawsze cześć i uznanie, o kierowniku milczała.

Długo nieprzejednana względem Dmowskiego za chęć skończenia strajku młodzieży szkolnej, przyszła do mnie jednak umyślnie już chyba w 20 roku na jesieni, aby zapytać, czy nic nie wiem o jego powrocie, bo uważa, że jest potrzebny.

Nie przytaczam zdań innych, które odsłaniały ostatnie jej zapatrywanie, — człowiek był zawsze jeden: bez skazy.

Bywałam u niej czasem o poradę lekarską. Mieszkanie małe, zimne, skromne sprzęty. Wartościowe rzeczy zniknęły. Kuchenka zamieniona na gabinet przyjęć, — nie gotowała u siebie, nie miała służącej. Przysyłała jej żywność bardzo przywiązana synowa, mieszkająca w tym samym domu.

Widać było, że nie jest zdrowa, ale nie mówiła o tem, — widywałam ją stale w jakimś znoszonym okryciu, którego nie zdejmowała w pokoju, bo chłodno.

W zimie r. 1919 zwrócono się do mnie — jedna z dawnych ligistek, że trzeba się zająć p. Teresą, bo nie ma na opał, dochody jej prawie upadły.

Nie chciałam wierzyć. Zaczęłam dyskretne badania dokoła — niestety, wszystko prawda. Potrzebna była pomoc szybka i skuteczna, jej zdrowie wymagało też ratunku.

Porozumiałam się z jej przyjaciółmi, wysłaliśmy ją do Otwocka, jedna z pań miała dziwną umiejętność pożyczania jej pieniędzy, które ja zdobywałam od związków lekarskich i możliwych przyjaciół. Ona kryła swą biedę nawet przed rodziną, i zadanie nasze było dosyć trudne, jakoś radziłyśmy jednak.

Ze zdrowiem tylko było coraz gorzej, a wcale się nie szanowała, stale w gorączce odwiedzała chorych, wychodziła na mróz i słońce.

Jednej rozmowy nie zapomnę nigdy.

Była zima rok 1920 albo 21. W mieszkaniu chłodno. Wyszła do mnie w grubych pantoflach i starym sukienym wierzchu od okrycia, przepasanym czemś naksztalt krajki.

Była ożywioną, mówiła zawsze o przeszłości, o tych, którzy odeszli, o dawnej wspólnej pracy, przypominała drobne ale pamiętne zdarzenia, cały szereg obrazów stanął w pamięci naszej.

Ogarnęło ją wielkie wzruszenie, chwilami głos jej tamowało, w oczach wilgotny blask. Stała przy stole drobna, blada, jasnowłosa, ze złożonemi na piersiach rękami, patrząc zamglonemi oczyma ku niebu, dwie łzy spokojnie spłynęły po twarzy.

— To było — ciężkie życie — szepnęła głosem urywanym — ciężkie — lecz — takie piękne! takie piękne!..

Piękne we wszystkim, idealne w stosunku do rodziny! Najlepsza córka, z bólem żegnała rodziców, którzy u niej mieszkali do śmierci, najserdeczniejsza siostra, najtroskliwsza opiekunka dla pasierbów.

Umarła 20 kwietnia 1921 r. i bardzo cicho pochowana. Na pogrzebie w kaplicy powąskowskiej była garstka wiernych przyjaciół.

A przestało bić wielkie serce i odszedł duch niepospolity. Litwa i Polska chlubić się nim może, gdyż obie jednakowe mają do niej prawa, obie jednym dla niej były.

Cisza jej śmierci była także piękna: świadectwo rozgoryczonych stosunków. Naraziła się wszyskim partjom, i żadna nie zdołała usunąć tego z porachunku.

Lecz ona nie dla partyj pracowała i nie dla ludzkich pochwał. Spełniała obowiązek w imię najpiękniejszej, idealnej miłości Ojczyzny.

Jej błędy to wybuchy gorącego a zbolełego serca. Czystej pamięci zmarłej winniśmy świętą cześć.

C. N.

Aleksandra Siemaszko-Markiewiczowa.

NIE MASKE KŁADŹ...

Nie maskę śmiechu kładź na lica!

Nie w tem jest siła woli,

By nie ujrzała Cię ulica

Gdy Ciebie serce boli.

Nie maskę śmiechu kładź na lica,

By nie ujrzała Cię ulica

W życiowej twej niedoli.

Lecz w płomień bólu połóż serce,

Niech w ogniu się przepali.

A w walkach z losem, w poniewierce

Nie drzyj, jak ludzie mali!

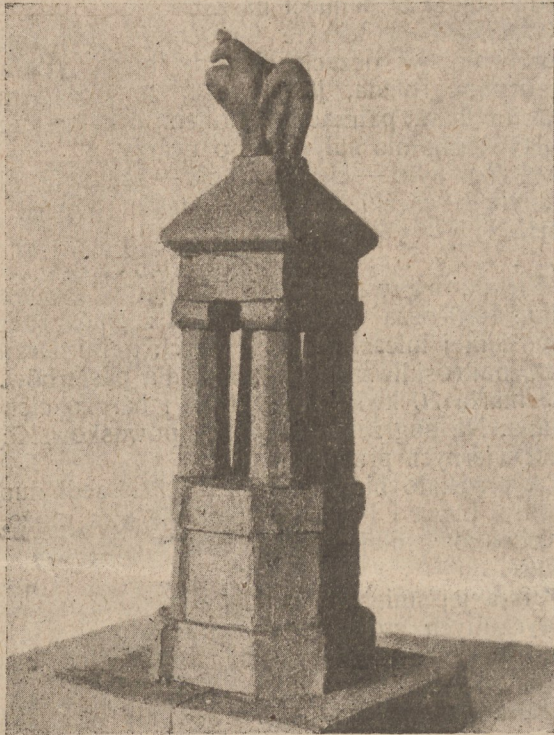
Lecz w płomień bólu połóż serce,

A w walkach z losem, w poniewierce

Nabierze mocy stali.

Sześć projektów konkursowych na pomnik.

Pomnik ma stanąć w Wilnie z inicjatywy Władz Wojskowych i poświęcony jest pamięci poległych z 5 p. p. Legionów. Projekta otrzymaliśmy dzięki uprzejmości profesora Kłosa z Wydziału Sztuk pięknych U. S. B.



Nr 1. Projekt KATARZYNY P. ECKOWNY — nagrodzony.

PIEŚŃ O POTĘDZE.

Wielcy artyści są nieodrodnymi synami wielkiego narodu, bo naród jest źródłem ich duchowej mocy. Są oni z nim związani nie świadomością swojej do niego przynależności, nie sercem współczującym jego bólom i radościom, lecz genezą swej indywidualności twórczej z ducha narodu.

Twórczość ich to odzwierciedlenie, widomy znak jego psychicznego życia. Jakże często wewnętrzne przeobrażenia psychiki zbiorowej, zanim się uzewnętrzną w jakimś konkretnym fakcie, już znajdują swój wyraz w dziele sztuki, które imię swego twórcy sławą wieszczą okrywa. Wielcy artyści to wyobraźnia narodu.

Zjawiają się oni przeważnie w chwilach przedprzełomowych, na świtanie wielkich dni w życiu narodu, gdy z miliona pragnień i natężonej woli rodzi się zbiorowy czyn, by, wbrew temu co niesie rzeczywistość, z heroiczną pogardą dla cierpienia apostołować wzniosły optymizm i wiarę w zwycięstwo. Ten ich boski uśmiech jest stwierdzeniem istnienia rzeczy

wiecznych, wobec których ból ludzkiego serca jest chwilką w bezmiarze nieskończoności czasu.

Oczywiście są to szczyty duchowej pracy człowieka i osiągają je tylko jednostki wyjątkowe, tytani uczucia. Sztuka, jako wyraz tęsknoty do ideału, odzwierciedla zwykle cierpienia dusz miałych, łamiących się z własną niemocą, lub oddaje czar zewnętrznej piękna, wysnionego dla pogodzenia nas z rzeczywistością. Niezmiernie rzadko znajdujemy w niej momenty dokonania, dojścia do zamierzonego celu, albo odniesionego zwycięstwa. Momenty te w twórczości artystycznej nie należą do sfery złudzeń, bo każde prawdziwe dzieło sztuki jest zarazem pewnym czynnem natury moralnej, często ogromnej doniosłości, nie tylko dla twórcy, ale i dla zbiorowości, do której twórca należy.

Czyż pieśń wielbiąca radość, którą stworzył w swej IX symfonii głuchy, opuszczony przez wszystkich ukochanych, najnieszczęśliwszy z ludzi, Beethoven, lub przedziwny gmach harmonji i ładu „Boskiej komedji“ Dantego, zapatrzonemu ponad okropną rzeczywistość swej zanarchizowanej ojczyzny w niezemskie sfery tamtego świata, nie są dla ludzkości zwycięstwami bardziej doniosłymi i owocnymi w skutkach, niż niejeden krwawy tryumf na polu bitew, który wstrząsnął całym układem porządku społecznego i tysiące ludzi śmierci rzucił na pożarcie?

Takimi przecież zwycięstwami woli nad losem posuwa się naprzód ewolucja ludzkości, nadająca sens istnieniu życia ludzkiego na ziemi.

Wiezy duchowe, łączące jednostkę twórczą ze zbiorowością dadzą się łatwiej odszukać w naszej sztuce, niż w każdej innej. Niedarmo przez czas długi artyści byli niekoronowanymi królami Polski. Czyż nie znajdziemy wśród nich piewców heroicznej siły?

Nad trójcą naszych wieszczów romantycznych zacieżył fatalizm dziejowy narodu. Słowacki, tworząc raczej wyobraźnią niż świadomą wolą, dawał tylko wyraz swej tęsknocie do potęgi i mocy, bo czuł jej brak w sobie i dookoła siebie. Mickiewicz, czyniąc za cały naród akt skruchy, uderzył w ton pokory i zrękać się farysowego pędu, uciszył buntowniczy krzyk, nie znającej kresu, potęgi swego ducha. Nie dał jej ani Chopin, ani Matejko, w którego dziełach, wyczarowana tęsknotą, potęgą przeszłości zajaśniała pełnym blaskiem swej chwały. Tęsknota za potęgą jest szczególnym rysem całej naszej porozbiorowej sztuki. Ona to kazała Wyśpiańskiemu do grobów królewskich zaglądać i z nich widma wielkości wywoływać, by w narodzie wolę zwycięstwa obudzić.

Więc może chwila niedawno przez nas przeżyta, chwila tryumfu i zwycięstwa, którą zawdzięczamy przecież rozpetanej sile zbiorowej woli do utwierdzenia swej potęgi, znalazła odbicie, lub została wieszczo przeczuta w którymś z dzieł sztuki, powstałych w przededniu tej chwili osobliwej?

Tak jest. Znajdujemy to przeczucie w zapożyczonym Kopciuszku naszej kultury, w sztuce, będącej najsutelniejszym narzędziem wyrazu stanów duchowych, w muzyce, w dziele artysty nie dosyć w Polsce znanego, z którego wielkości u nas tylko niewielka garstka ludzi w całej pełni zdaje sobie sprawę. Dziełem tem jest sonata fortepianowa op. 21 Karola Szymanowskiego, wydana w roku 1912.

Szymanowski jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym w muzyce współczesnej. Najwybitniejszy liryk pomiędzy współczesnymi, mistrzowsko władający bogatą i złożoną fakturą muzyki nowoczesnej, jest Szymanowski pierwszym kompozytorem polskim, który, nawiązując do sztuki Chopina, umiał się zdobyć na wyraz swej własnej wybitnej indywidualności. Obecnie jest on w pełni rozkwitu swego olbrzymiego talentu. Przebył długą drogę rozwoju form swej sztuki, coraz to nowymi zbgacając ją środkami.

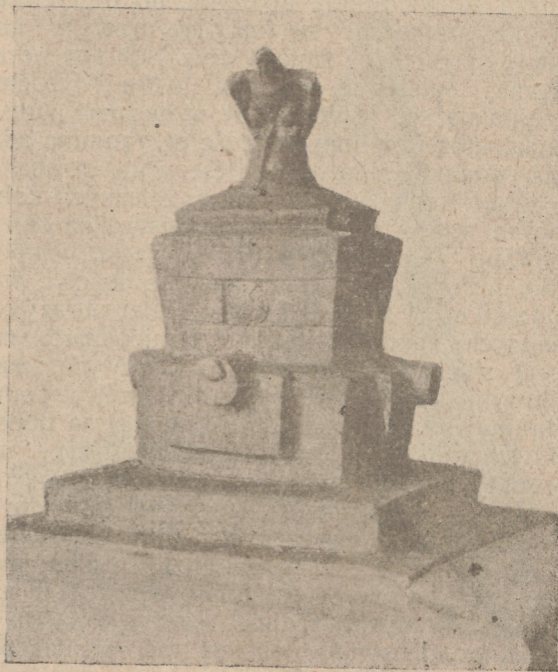
Darmo dociekać dokąd dąży i czem ukoronuje swą pracę twórczą. Sonata II op. 21 jest najwybitniejszym dziełem drugiej fazy jego twórczości, do której należy także II symfonia. Ważny to etap dla Szymanowskiego, w nim talent jego dojrzał, nabrał męskiej siły i patetycznego rozmachu. Chociaż dziś już daleko odszedł Szymanowski od tego młodzieńczego swego utworu i inne przyświecają mu obecnie ideały artystyczne, II sonata mimo to pozostała w literaturze muzycznej polskiej dziełem, natchnieniem i wiedzą przewyższającym wszystko co u nas po Chopinie napisanem zostało, wzorem wielkiej sonaty w pobeethovenowskim stylu.

Jednak nie muzyczna jej wartość interesuje mnie w tej chwili. Sonata ta, jak każde zresztą prawdziwe dzieło sztuki, oprócz walorów czysto artystycznych posiada ogromną doniosłość kulturalną, jako owoc przeobrażania się duszy artysty, w dążeniu do udoskonalenia formy wyrazu zbgacającego jednocześnie treść swych przeżyć wewnętrznych. Dlatego można ją oceniać, chociaż jest to zwykle uważane za krytykę nierzeczową, nie tylko z czysto fachowego punktu widzenia, lecz także jako zjawisko kulturalne o znaczeniu, wykraczającym daleko po za zakres wartości ściśle estetycznych.

Sonata Szymanowskiego, pozbawiona, zastrzegam się zgóry, jakiegokolwiek programu literackiego, zobrazowuje, bardzo być może bez zamierzenia autora,

pewien proces duchowy, w którym wola, pokonywując różne stany uczuciowe i łamiąc się z przeciwnościami, wyzwała się w końcu zwycięska i radośna.

Część pierwsza sonaty, Allegro assai, nasuwa obraz jakichś ikarowych porywów. Nim się skrzydła



Nr. 2. Projekt ANNY SZCZAWIŃSKIEJ — nagrodzony.

do lotu rozwiną, już je zwątpienie pęta, szamocząc się więc w więzach niemocy, tęsknotą porwane, uczucie ulata w sfery, których wola osiągnąć nie zdołała. Część druga, temat z warjacja. przenosi nas w zupełnie

STANISŁAW TARGOWSKI.
(Witold Szreniawa).

Z POBYTU NA NIEDALEKIM WSCHODZIE.

WARSZAWA — KONSTANTYNOPOL.

1919 — 1920 r.

III.

Podróż z Wiednia do Zagrzebia.

Po kilkotygodniowym pobycie w Wiedniu udałem się w towarzystwie pięciu kolegów „misjonarzy“ do Zagrzebia, stolicy krocacji, wchodzącej w skład królestwa Jugosłowiańskiego.

Do Wiednia dochodziły z tamtej strony Drawy wieści niepokojące, które warzyły trochę humory nasze i nadzieje. Mówiono i w prasie wiedeńskiej kolportowano wiadomości o rzekomym wybuchu rewolucji w Jugosławji i o wojnie domowej, która to młode państwo już toczy. Dzienniki niemieckie podawały na-

wet ilość zabitych i rannych w walce ulicznej w Zagrzebiu.

O dwunastej godzinie w nocy wyruszyliśmy pociągiem pośpiesznym do granicy austriacko-jugosłowiańskiej. Wygodnie umieszciliśmy się w zamówionych poprzednio miejscach. Spać nikomu z nas się nie chciało. Każdy bowiem zastanawiał się nad tem, co go mogło oczekiwać w tej podróży niebezpiecznej. Powoli jednak sen zmorzył niektórych.

Wyjrzałem ciekawie przez okno. Pociąg pędził z zawrotną szybkością. Snopy iskier obejmowały wagony, pasmami świetlnymi niby wstęgami opasując mknący potwór, aż w końcu ginęły bez śladu.

Miało się wrażenie, jakby pociąg mknął po wąskiej jakiejś drodze wśród przepaści głębokich wystających nagle z czarnych cieni nocy. Mijałymi mosty, przejeżdżaliśmy rzeki i rzeczki...

Wpatrzony w znikliwe cienie pociągu naszego, sunącego migawkowo po jakichś ścianach wąwozu, przez który toczył się nasz pociąg, powoli oczy przyzwyczajałem do ciemności.

A wówczas widziałem góry wysokie, które wznosiły się ścianą po obu stronach drogi żelaznej i odróżniałem gęste lasy.

odmienny nastrojem świat słonecznej pogody, jakby świat wspomnień z dzieciństwa i rodzinnego domu, gdzie jest spokój i ukojenie dla strudzonych bezowocną walką, gdzie nieporównanej słodczy melodia w a-dur pociesza, napełnia otuchą i wieści o rychłym zwycięstwie. W następnej jednak warjacji wola budzi się z uludnych słodkich snów do czynu, do nowych zapasów i, nie szamocząc się już, jak orzeł w klatce zamknięty, postępuje śmiało raz obroną drogą. Rozbiegane, splatające się w ostre dysonanse, głosy zespalają się, jednoczą by wybuchnąć wreszcie sarabandą, której monumentalność przypomina adagia ostatnich sonat Beethovena. Jest w tej sarabandzie męska siła, brzmi w niej tętent żelaznych kohort, śpieszących w bój po laur zwycięstwa na skronie. Następna po niej pompatyczna warjacja, tempo di minuetto, jest jak wyzwanie rzucone losowi przez, nieznanego co to trwoga, herosa. Dalej obrazy coraz ciemniejszych nabierają barw i z neodpartą mocą narzucają słuchaczowi wrażenie straszliwych zmagania z chwilowymi upadkami duszy, dla której wspomnienie z krainy szczęścia (motywy tematu) są podniętą do dalszych walk i trudów. Largo, najgłębszy może ustęp sonaty, jest pełne zadumy. Po niej jakby objawienie nowej jakiejś idei, jakby nowe drogi do celu raptem się otwały. Jak cudownie brzmi fuga energią pracy! Temat jej biegnie przez głos, nabiera mocy, blasku, rozszerza się, by w końcu rozbiegane głosy sprzeżnąć w tryumfalny hymn.

Zakończenie sonaty tak jest radośne, tak pełne tryumfującej mocy, że tylko dokonane nad sobą, lub przeczone rychłe zwycięstwo narodu mogło natchnąć Szymanowskiego do stworzenia tak potężnego nastroju. Co za heroiczna moc bije z tej sonaty! I zważyć to proszę — utwór ten powstał w tym samym czasie, kiedy Padarewski pisze swoją tragiczną symfonię h-moll, kiedy Różyki płynie lekko po powierzchni swej czarującej muzyki, kiedy wszystko co

wówczas w sztuce naszej powstało nastrojem swym, treścią przesiąknięte jest poczuciem niewoli i ugina się pod ciężarem przygnębiającej rzeczywistości.

Bohaterski ton sonaty Szymanowskiego jest dla porobiorowej sztuki polskiej naprawdę nowy. Ona jedna zapowiada wyzwolenie narodu i świadczy o budzeniu się nasz-go geniuszu zwycięstwa. Jest to pierwsze dzieło muzyczne od czasów śmierci Chopina godne postawienia obok tych arcydzieł literatury i malarstwa, które są miarą wielkości naszej duszy narodowej.

Wadwicz.

ROGÓW NAD WISŁĄ.

ZAKŁĘTY DWÓR.

Modrzewiony polski dwór nad Wisłą.

Zaklęty? przez kogo?

Przez tego, co w owej epoce jego urodzin nazywał się Saturnus, Kronos.

I szły przez ten Dwór stulecia, dzieci Saturna.

A on stał, nasiąknięty pachnącą żywicą polskich modrzewi.

I szły tym szlakiem burze i rozbijały się o jego dach załamany. porosły szarzyną.

A on stał, i zawsze patrzył z wysokiej góry w fale Wisły.

Szły najazdy dziczy wschodniej, hufce napastników przeróżnych, odpędzane szumem skrzydeł husarskich, i cięciem mieczów.

Uderzały o jego ściany echa pieśni triumfu i pieśni grozy...

I przyszły lata ciszy, rozpaczliwej głuszy, rezygnacji.

Przecinaliśmy las wiedeński, Semmeringi, Fiszbachskie, Bruckie Góry. Jechaliśmy przez uroczą Styryję... Noc nie pozwalała podziwiać tych cudów przyrody, które tutaj miłośnik natury dojrzeć może... Myśl jeno dopowiadała wyobraźni i wspaniałe obrazy jeden za drugim wstawały, jak w kalejdoskopie.

Żal mi jednak, iż nie mogłem widzieć przy świetle dziennym tych sławnych Semmeringów, tych lasów dębowych, gdzie pełno zwierza drzemie, gdzie tyle wieków trąbka myśliwska częstem echem budzi z chwilowej spączki poważne knieje górskie.

Żal mi, że nie mogę podziwiać wspaniałych widoków natury, która na stokach Semmeringów i Alp Fiszbachskich rozsiała tyle czaru i poezji...

Wczesnym rankiem docieramy do granicy austriackiej.

Jesteśmy na małej stacyjce granicznej, Steinbruch, inaczej Linanimost.

Komunikacja dalsza kolejną jest niemożliwą, ile że zachowany jest neutralny pas kilkunastokilometrowy między obydwoma państwami. Drawa toczy swe wody szeroko rozlane w tym pasie, strzeżonym pilnie przez pikiety wojskowe.

Ro okazaniu legitymacji dowiadujemy się, że dalszą drogę odbyć możemy dyszlem rzemiennym, zwyczajnie jak zdarza się to często u nas w Ojczyźnie, np. z Włocławka do Zbójna za Wisłą z okładem 7 mil. Tu jednak mamy w perspektywie zaledwie godziną jazdę. Nic to, iraszka w porównaniu z wygodami kraju ojczystego.

Tymczasem czujemy w sobie apetyty nieprzewyciężone.

Stacyjka jest niewielka. Bufetu niema. Wskazują jednak w oddali na jakąś karczmę.

O radości! Podają nam prawdziwą szynkę różową, jajka, no i dawno niewidziane i niekosztowane specjalny — świeżutkie chrupiące rozkosznie bułeczki pszenne i rogaliki, u nas kiedyś w Warszawie zwane solankami. Pijemy też po raz pierwszy wino słowian południowych, napój ich przyrodzony. Jest to jasne, cieniutkie młode wino o kwaskowato-cierpkim smaku, do którego trzeba się przyzwyczaić, aby zaletę jego odpowiednio ocenić.

Okazuje się, że apetyty mieliśmy większe, aniżeli nawet przypuszczaliśmy. Zemścił się na nas okrutnie przydługi trochę pobyt w Wiedniu.

Otuliły go miłośnicie stare drzewa i płakały nad nim rosą poranków i szronami zim.

Aż rozegrały się w przestrzeni radośne jakieś wołania i zbudziły stary Dwór! — Szła Wolność! Popłynęły mimo niego zastępy chciwe zdobywcy.

Otrząsnął z siebie profanację ich dotknąć i spojrział z triumfem.

Zaklęty przez starego Saturna — przetrwał, żyje.

Na ścianach frontowych przy starych podwojach wita wchodzących takim napisem prastary dwór polski:

„Jeżeliś strudzony — zniżą się te progi, spoczynek Cię czeka. Jeżeliś znękany — rozszerzą się te ściany, spokój tu znajdziesz“.

I sień wydłużona obejmuje wchodzącego opiekunów ramionami. Ściany wykładane haftem boazerji na białym, ledwo widocznym tle. Na rzeźbionych belkach widnieje napis restaurowania 1685 roku. Wysokie szlabany z poręczą rzeźbioną w drzewie jak kościelne stalle prowadzą oczy gdzieś w głąb, ku krętym schodom w rogu sieni. Wszystko koloru drzewa poczernionego przez wieki. Posadzka kamienna, okienka owalne z szybek przypominających oprawę w ołów. Ze ścian sterczą rogi trofeów myśliwskich, przerzedzone w szeregach. Wypchany głuszc i sowa patrzą zdziwione na wnikające tu triumfalne życie... Mimowoli wchodząc, stąpa się tu cicho, mówi szeptem. Tu chodziły stulecia... Tędy przeszły stare dzieci starego Saturnusa, co zaklął polskie ściany na trwałość.

Tradycja głosi, że obecny Rogów fundowany był w XVI w. przez Firlejów. Długosz w swoich dziejach Polski wspomina, że Rogów w połowie XV wieku należał do Hinczów. Portret zczerniały starego rycerza Hinczy głośnie nadpisem o jego wierności dla króla i poskromieniu zbuntowanych, zdobi wielką salę stołową. Ogromny komin stoi w jej rogu, nad nim kilka starych zbroic — na ścianach wisi kilka portretów, i kilka ram pustych. Przypotrzebiły się komuś i stare pancerze i portrety. Wydarło podobizny Franciszki

Kraśińskiej, królewiczowej polskiej i jej męża. Była w białej sukni i stąd urosła legenda o Duchu Białej Damy ukazującym się tutaj, może w poszukiwaniu



Nr 3. Projekt LEONJI SZCZEPANOWICZOWEJ—nagrodzony

swej podobizny? W ogóle „Duchów“ ma tu błędzić dużo.

Obecna właścicielka Rogowa, księżna Michałowa z hr. Skórzewskich Ogińska z czcią i pietyzmem przywraca tym ścianom dawny wygląd, nadszarpany przez

Uregulowawszy, ku zadziwieniu naszemu skromne bardzo rachunki, śpieszymy na stację aby wynająć bryczki lub wozy jakieś, na dalszą podróż.

Do granicy Jugosłowiańskiej nikt nie chce jechać. Obawiają się. Mówią, że serbowie konie zabierają. Żadne względy natury brzęczącej, a właściwie banknotowej, nie są zdolne przekonać łagodnych styryków.

W końcu, po długich pertraktacjach staje układ. Podwożą nam rzeczy tylko do mostu, t. j. do granicy po jednej stronie. Stamtąd zaś będziemy zmuszeni bagaże nasze albo nieść sami, albo też przelożyć na wózki obywateli króla Piotra.

I oto pobrawszy kije w ręce, jak prawdziwi „misjonarze“, konwojujemy dwa wózki chłopskie do granicy. Rozbawieni tą nową sytuacją posuwamy się powoli wśród okolicy malowniczej, obok drogi żelaznej. Dla upewnienia się, że nas przepuszczą władze graniczne serbskie, delcgujemy z pośród nas dwóch kolegów i ci udają się z poważnymi minami do postunku straży.

Po pewnym czasie widzimy zdala most kolejowy, a z boku wody Drawy.

Koło mostu stoi patrol wojskowy. Nasi dzielni woźnice zatrzymują się. Lecz w tej samej chwili podjeżdżają z tamtej strony wózki. W mig rzeczy przeładowane. Uprzejmie odpowiadają nam po słowiańsku. Jeden z nich do niedawna żołnierz c. k. austriacko-węgierskiej armii rozmawia z nami zupełnie poprawnie po polsku. Jak się później z rozmowy okazało, służył podczas okupacji austriackiej w Lublinie przez półtora roku. Narzeczoną zostawił w Polsce. Będzie chciał po nią przyjechać, gdy się trochę sytuacja polityczna wyświetli, a czasy uspokoją. Życzymy mu powodzenia. Chłopak wesoło się do nas uśmiecha.

A i my jesteśmy w przyjemnym nastroju. Początek bytności w tem nowym państwie powiódł się nam wyśmienicie. Przyjęto nas wcale uprzejmie. A może to tylko tak na granicy?

Tymczasem oficer patroli przydziela nam żołnierza, który wskaże drogę najbliższą.

W dwadzieścia minut później dotarliśmy bez wypadku do Marburga, stacji dość dużej w królestwie Jugosłowiańskim.

Pociąg do Zagrzebia odchodzi za dwie godziny. Mam dość czasu, aby zwiedzić miasto, które zdaleka mile się nam przedstawia.

wielką wojnę ludów. Ocalało jednak mnóstwo rzeczy i starych mebli. Cudne tutaj są sufity belkowane rzeźbione w drzewie, oraz okna i drzwi obramowane przepyszną rzeźbą. Piece z kolorowych kafli, jak małe świątynki z posągami i napisami, dźwigane przez nóżki porcelanowe w kształcie łap zwierzęcych, zatrzymują przechodnia patyną wieków. Okna mają małe szybki, a każde u góry zaopatrzone jest w mały kolorowy witraż o tematach biblijnych. Klamki, okucia, zamki, zawiasy, wszystko tchnie jakąś parowiekową przeszłością. W jednej z komnat ściany malowane olejno o postaciach pół mitologicznych. W innych patrzy ze ścian twarze Stanisława Augusta, Stan. Leszczyńskiego i jakichś pudrowanych prababek. Niektóre ściany zdobią odnalezione szczęśliwie gobeliny, a przy nich komódki z bronzami oksydowanymi przez czas, kantorki, fotele rosochate skórą kryte, stoły z intarsją wzorzystą, skrzynie okowane.

W jednej z sal reszty biblioteki świeci starymi tomami; parę szaf założonych narzędziami laboratoryjów chemicznych przypomina czasy Magji i Astrologji. Biblioteka dopełnia się tem co przynosi terażniejszość.

W jednej z szaf znajdują książkę o Rogowie, wydaną w r. 1918 z ilustracjami jako opis zabytku budownictwa polskiego XVII w. przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Podnosi tu autor T. Szydlowski czysto polskie motywy architektoniczne.

Z roku 1912 jest wydawnictwo z okazji wystawy architektonicznej w Krakowie, w którym Jerzy Warchałowski daje entuzjastyczną impresję tego Zakłętego Dworu i parku. Takich alei o starych pokreślonych pninach i sklepionych koronach rzeczywiście chyba niema nigdzie więcej w Polsce.

Klejnot przeszłości patrzy w nurty Wisły i znów żyje...

Ludwika Życka.

O jednym z najpożyteczniejszych zakładów naukowych dla kobiet.

W r. 1920 założono w Warszawie nowoczesną szkołę pielęgniarstwa, staraniem Ministerstwa Zdrowia, Wydz. Lekars. Uniwersytetu Warsz., Magistratu stoł. miasta Warszawy, oraz Polskiego Czerw. Krzyża.

Z pomocą przyszedł Czerwony Krzyż Amerykański, którego delegatka Miss Helen Bridge w r. 1921 przyjęła na siebie obowiązek przełożonej szkoły, na którym trwa dotąd i dała pomoc materialną w zorganizowaniu gmachu odpowiedniego i ustanowieniu programu z odpowiednim personelem wykładowym. Warszawska Szkoła Pielęgniarstwa przygotowuje kobiety, któreby mogły pracować jako higienistki, nad poprawą warunków zdrowotnych w kraju oraz jako inteligentne pomocnice lekarzy.

Szkoła mieści się w dwóch pawilonach szpitala Pol. Cz. Krzyża przy ulicy Smolnej 6.

Kurs jest dwuletni. Słuchaczki odbywają praktykę pielęgniarstwa na salach szpitalnych w chorobach wewnętrznych i chirurgicznych, a dyżury mają w salach operacyjnych. Na praktykę ginekologiczną, chodzą do kliniki Uniwersytetu Warszaw. a w szpitalu Karola i Marji Szlenkierów praktykują w pielęgnowaniu dzieci.

Szkoła posiada cztery dobrze urządzone sale wykładowe w tem laboratorja: dietetyczne, chemiczne, bakteriologiczne, anatomiczne i fizjologiczne. Słuchaczki mają w internacie wygodne sypialnie i salę rekreacyjną do zebrań towarzyskich. Personel wykładowców tworzą dyplomowane pielęgniarki-instruktorzy, Polki, oraz lekarze i profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego.

W ciągu dwuletniego kursu nauk w szkole, słuchaczki mają prawo do czterech tygodni wakacji w porze dogodnej dla szkoły. Pozatem urlopów się nie udziela. W razie choroby słuchaczkami opiekuje się

Marburg nad Drawą, ładnie położony, zamieszkały przez ludność, która od wieków pierwszy raz zmieniła pana.

Typowe schludne miasteczko prowincji austriackiej. Panuje wszechwładnie niemczyzna. Jedna główna ulica, dość szeroka i czysta. Sklepy małomiasteczkowe, apteka, fryzjerzy. Cukiernie. Kina.

Pijemy kawę. Wstrętne. „Trudno, i do tego trzeba było się przyzwyczaić w czasie kilkuletniej wojny“ utyskuje kawiarka.

Ładny plac katedralny w pośrodku miasta. Kościół jednak niewielki, swojskiego stylu. Skwer gustownie splantowany, jakiś pomnik.

Daleko ładniejszy jest kościół Franciszkanów, do którego przylegają zabudowania klasztoru tego zgromadzenia.

Oglądamy z zainteresowaniem kilka mostów, które łączą obydwie brzegi szerokiej Drawy. Miasto przytulone do Szlappenbergu oblane jest z drugiej strony wstęgą bogatych wód, wartko toczących się po gładkim korycie.

Park miejski, pomnik jakiegoś arcyksięcia. Ot i wszystko, co zwiedzić było można.

Jedziemy dalej. Okolica górzysta. Przerzynamy słoweńskie wzgórza. Winnice gęsto rozsiane, niewielkie lasy, pola uprawne, stada pasących się krów, bogata roślinność — krajobraz często spotykany.

Nad wieczorem wchodzi do naszego przedziału na jednej ze stacji młody major serbski.

Za kilka godzin staniemy w Zagrzebiu. Zaczyna padać deszcz.

Oficer serbski okazuje się bardzo rozmownym. Słyszał o Polsce, lubi polaków.

— „Ho, ho, duszę oddałbym za Kmicica — Babinicza. To był dzielny żołnierz. Albo Wołodyjowski. Polacy — to dobrzy żołnierze! — poważnie i z wiarą opinuje.

— „To pan czytał Sienkiewicza? A w jakim języku“?

— „Po serbsku. Mamy całą trylogję tłumaczoną. A jakże“!

Rozmawiamy ze sobą w dość oryginalny sposób. My mówimy wolno po polsku, on zaś po serbsku. Ponieważ jednak obydwaj znamy rosyjski, więc jakoś to nam idzie. Przynajmniej obydwaj znajdujemy bardzo wiele podobieństwa w obu językach. Przekonałem się niestety później, że jednakże bez znajomości języka

szkoła gorliwie, a w razie potrzebnego po niej urlopu, słuchaczki powinny czas opuszczony odpracować w szkole, po dwuletnim ukończeniu kursu.

Uczenice przyjmują się w wieku od lat skończonych 20 do 30, z wykształceniem w zakresie sześciu klas gimnazjalnych conajmniej, i muszą mieć dostateczny zapas sił i zdrowia. Do podania o przyjęcie do szkoły należy dołączyć wypełniony formularz który się otrzymuje od przełożonej szkoły, następnie metrykę urodzenia, świadectwo szkolne, a w razie małoletności, piśmienne pozwolenie rodziców lub prawnych opiekunów.

Dwuletni kurs nauk składa się z 559 godzin systematycznych wykładów teoretycznych i dodatkowych zajęć praktycznych, nie tylko w szpitalach ale i w zakresie zdrowia publicznego.

Program obejmuje następujące przedmioty:

Anatomja i fizjologja. Bakterjologja. Chemja stosowana. Odżywianie i gotowanie. Zasady pielęgniarstwa. Historia pielęgniarstwa. Higiena. Lekarstwa. Bandażowanie. Gimnastyka. Patologja elementarna. Analiza wydzielin. Pielęgnowanie w chorobach wewnętrznych i chirurgicznych. Materia medica i terapeutyka. Djeta w chorobie. Pielęgnowanie dzieci. Pielęgnowanie w chorobach zakaźnych. Masaż, hydroterapia i mechanoterapia. Położnictwo i ginekologja. Pielęgnowanie w chorobach oczu, uszu, nosa i gardła. Pielęgnowanie w chorobach nerwowych i umysłowych. Zdrowie publiczne i higiena publiczna. Pielęgnowanie w chorobach wenerycznych i skórnych. Pielęgnowanie chorych na gruźlicę.

Zmiany w programie mogą być wprowadzone na żądanie władz państwowych, i zależnie od rozwoju pielęgniarstwa.

Szkoła rozpoczyna kurs nauk w r. 1924 od końca września dla nowopostępujących słuchaczek. Drugi raz w roku przyjmują się słuchaczki na wiosnę.

Opłata na rok 1924 następująca:
Wpisowe (płatne z góry).

Rok I.

- 1) Kurs przygotowawczy 100 fr. złotych.
- 2) Drugi dział nauki 35 „ „

Rok II.

- 3) Trzeci dział nauki . . . 30 fr. złotych.
- 4) Czwarty dział nauki . . . 25 „ „

Opłata za utrzymanie, (za miesiąc z góry zawsze) na czas nauk teoretycznych po 1.50 fr. zł. dziennie.

Nauki teoretycz. trwają w przybliżeniu w pierwszym roku 18 tygodni, w drugim 8 tygodni.

Za wypożyczenie mundurka i pościelowej bielizny składa się zastaw i pewną opłatę.

Niezamożnym słuchaczkom szkoła daje stypendja całkowite lub częściowe. Należy w takich razach dołączyć prośbę o stypendjum przy podaniu o przyjęcie. Stypendystki muszą się zobowiązać do zwrotu stypendjum. Dyplomowane mogą według uznania Zarządu władz szkolnych odstąpić ten dług, pracując za połowę pensji w tejże szkole na stanowisku naczelniej pielęgniarki.

Po otrzymaniu świadectwa z ukończenia szkoły pielęgniarstwa, słuchaczki zdają egzamin na dyplom państwowy.

Słuchaczki ukończone już mogą zajmować rządowe posady: instruktorek przy nowych szkołach lub kursach pielęgniarstwa, kierowniczek Stacji Opieki nad dziećmi, dziś w każdym większym mieście urządzanych (w Wilnie również istnieją pod dawniejszą nazwą: Kropla Mleka). Mogą zajmować posady higienistek szkolnych, kierowniczek szpitali lub klinik uniwersyteckich.

Amerykański milijarder Rockefeller, po zwiedzeniu przez swoją delegatkę i sekretarkę, szkoły warszawskiej, przeznaczył kilka stypendjów rocznych i dwu-

rosyjskiego nie moglibyśmy się wówczas ze sobą porozumieć.

Gawędką o różnych rzeczach, dotyczących naszych krajów, skróciliśmy sobie czas podróży. Z radością copperską skonstatować mogłem, iż wiele ciekawego czeka mię w dalszej podróży po tym kraju mi nieznanym, wiele interesującego w obcowaniu z narodami tutejszymi.

Mój nowy znajomy, patriota serbski, odbył całą kampanję bałkańską, wiele ciekawych szczegółów o tej wojnie mi opowiadał, kreślił charakterystyki żołnierzy, oficerów, ludności...

Dużo musiałem mu również opowiadać o Polsce. Ignoracja jego w sprawach polskich była tak zupełna, że nie wiedział, jakiego rodzaju jest nasze państwo: królestwo, czy republika? jaki sejm? ile ludności Polska liczy? ile wojska i t. p. i t. p. A przedewszystkiem przekonywać go musiałem b. gorąco, że niema u nas bolszewików, i że o rządzie rad, mowy być nie może.

Jak się później okazało, prasa wrogo dla nas nastrojona szeroko rozkolportowała w Chorwacji i Słowacji wiadomości o krytycznym stanie Polski, o wewnętrznych walkach partyjnych, o rewolucji bol-

szewickiej, o dezorganizacji naszego życia i zakorzenionych u nas tendencjach bolszewickich.

Nie przypuszczałem wtedy, że w dalszych moich wędrówkach po wschodzie będę musiał często prostować fałszywe zgoła opinie o kraju rodzinnym, zbijając nieraz fantastyczne opowiadania o zachłanności polskiej, o imperjalizmie polsk. I to ciekawe, że nie tylko ludzie o mniejszej skądinąd kulturze umysłowej, jak oficerowie i urzędnicy, lecz profesorowie uniwersytetów, artyści i dziennikarze zdradzali taką nieznaną mi rzecz ogólną nawet. a dotyczących zagadnień polskich, rosyjskich, polsko-czeskich, ukraińskich, bałtyckich, nawet i w kwestji polityki ogólnoeuropejskiej, że zadawałem sobie pytanie, czyż ci ludzie tak zdala od Europy Zachodniej żyją, iż jej żywotnych spraw nie znają, czy też wpływają na tę obojętność i nieświadomość jakieś inne przyczyny.

Dopiero po wielu miesiącach zdołałem sobie rzecz tę wyjaśnić i wytłomaczyć należycie. Ale o tem później.

Wśród deszczu ulewnego dojechaliśmy do Zagrzebia.

(D. c. n.)

letnich dla ukończonych słuchaczek szkoły, na wyjazd do Anglii, Ameryki i Francji dla wyższego wyspecjalizowania się w pielęgniarstwie.

W tym roku, według decyzji władz szkolnych, zostało wybranych sześć słuchaczek na wyższe studia na wyjazd.

Szkoła Warszawska już dała przez te lata 60 ukończonych pielęgniarek, które obowiązkowo przez dwa



Nr 4. Projekt WIKTORA STANKIEWICZA.

lata po skończeniu muszą pracować i przyjąć posady jakie im szkoła wybierze z odpowiednim uposażeniem.

Są to stanowiska t. zw. zagranicą officier de santé dające byt zadawalniający ideowo i materialnie. Wilno otrzymało też już kilka takich wykwalifikowanych pielęgniarek i ma wyznaczoną higienistkę.

FILM ZAGRANICĄ.

Wszyscy przedsiębiorcy filmowi dążą do tego aby oprzeć kino o estetykę — aby dać temu kinu możliwość władania nad słowem, teatrem, sztuką ect. Cel swój osiąga zagranicą mając dbałych o piękno tej sztuki przedsiębiorców. Niedorzeczny przesąd oraz dziwna niewiara w celowość kina (u nas tak silnie zakorzeniona we wszystkich magistratach) straciły tam dawno panowanie. Rozsądek bierze górę i dziś można śmiało powiedzieć, że Francja, Niemcy i Ameryka stoją w pierwszym szeregu kulturalnego pochodzenia dziesiątej Muzy. Estetyka jaką widzimy we francuskich obrazach nie znajduje konkurencji, pomysłowość jaka cechuje te filmy, jest niezastąpiona. Widziałem niedawno w Wilnie obraz francuskiej wytwórni (nazwy nie pamiętam) p. t. „Ordynans“ oparty na powieści G. Maupassanta. Główną rolę kreowała Rosjanka. (Natalja Kowanko). Budowa tego obrazu była tak piękną, tak opartą na prawdzie, że musi się zaliczyć

takie wykonanie do najlepszych. Zaznaczyłem, że w filmie tym bohaterką była Rosjanka. Dowiedziona bowiem rzeczą i dla nas nawet pocieszającą jest, iż najlepszymi aktorami filmowymi są Słowianie. Ilekroć Polek kryje się pod rozmaitymi pseudonimami i dziś zagranicą staje się gwiazdami filmu.

I te wszystkie kraje jak Francja, Niemcy, Włochy, Ameryka i in. są w możności wyzyskania takich talentów jak Pola Negri, Hela Moja, Halina Brucówna ect.

Niemcy stwarzają film po największej części oparty na literaturze rodzimej. Jednakowoż często, jako kraj szowinistycznej polityki, zbaczają z drogi — zamieniając swój film w propagandę. Lecz precyzyjność z jaką zwykle obraz zostaje wykonany pozwala już rozwijać tę sieć przemysłu. Liczą na to i są pewni swojego eksportu.

Na rozwój produkcji wpływa w większej części zastęp doskonałych reżyserów i pracowitego zespołu artystycznego. Ogromna ilość wytwórni, (sam Berlin posiada ich około 200) w których widać pracę, podnosi ten poziom.

Niedawno staraniem firmy Teano-Filen Gesel. w Berlinie powstał obraz p. t. „Lotos blume, die Geschichte einer Madame Butterfly“. Wspominam ten obraz jedynie dlatego, iż treścią jest zbliżony do libretta opery Pucciniego p. t. Madame Butterfly. Treść wprowadzie jest częścią zmieniona, a to głównie dlatego, iż technika filmu a technika sceny zasadniczo się różnią, to jednak nie wpływa na zmianę tła obrazu,

Jest to jeden z pierwszych obrazów kolorowany w naturalnych barwach zapoczątkowujący nowy ruch w kolorystyce filmowej.

Tyle w Niemczech!

Polski film niestety, jak już wspominałem w jednym z poprzednich numerów — bardzo znikome wydaje owoce. I dlatego rzeczywiście z ulgą można przyjąć jako dobrą nowinę snując pomysły horoskopy — to, że ujrzeliśmy niedawno na półkach księgarskich, książkę znanego literata, Karola Irzykowskiego, p. t. „Dziesiąta Muza zagadnienie estetycznej kina“ traktującą tę niewyrobioną w Polsce dziedzinę zupełnie poważnie i przekonująco.

Leszek Szeligowski.

SZTUKA LITERATURA I NAUKA.

Opera, koncerty.

Mikołaj Orłow grał ponownie — tymczasem w „Lutni“ — i to samego Chopina. Pomimo, iż absolutnie grał gorzej podobaj mi się jednak więcej niż na pierwszym swym koncercie.

Pozorny ten paradoks zrozumie jednak każdy, kty był na obu tych koncertach. Orłow w swej grze jak już to zaznaczyłem, nie działa bezpośrednio — i to jest jego wada. Wadę, którą może łatwo usunąć, gdyż na ostatnim recitalu zauważyłem skłonność Orłowa do pewnego, swoją drogą specjalnego rozmarzenia (Sonata h moll). Jest dowód, że wyborny ten pianista ma jednak w swej grze pewną dwoistość; którą drogę obierze niewiadomo. W każdym bądź razie jedna z nich prowadzi b. prostym i równym torem do... pospolitej wirtuozerii, druga do najwyższego aryzmu.

Pozatem możliwe są u Orłowa jeszcze i niespodzianki, jakie podobno talent artysty tego z roku na rok swym słuchaczom sprawia.

Koncert pp. Igdał i Derwiego pozwolił poznać Wilnu głosy tych b. inteligentnych artystów. P. Igdał śpiewała pięknie i nader artystycznie—p. Derwies ma emisję gardlaną co szkodzi całości wrażenia artystycznego.

Wieczór operowy w gimn. im. Lelewela wykazał wybitne walory głosowe pp. Hendrychówny oraz p. Korsak-Targowskiej, jako też p. Wragi. Tylko program nieco monotony i nudny, ożywiony jedyną pieśnią z Walkirii Wagnera w wykonaniu p. Ludwiga.

W Sali Śniadeckich odbył się koncert, na którym grała p. Klecka (Chopina), śpiewała jak zwykle prześlicznie p. Święcicka oraz deklamowała wybornie p. Sumorokowa. P. Wojewódzki dostrajał się doskonale do całości.

„Rycerskość wieśniacza“ Mascagniego i „Pajace“ Leonkawalla w Teatrze letnim. Te dwie opery melodyjne i tchnące pełnią liryzmu weszły na afisz uzyskując z miejsca powodzenie. Dzięki dobrej grze i pięknie opracowanym głosowo partjom przez artystów tej miary jak pp. Hendrychówna, Dembowska i Pastówna, Ludwig, Stępniewski, Krużanka, Romanowski, Kopciuszewski. dzięki starannej reżyserji p. Ludwiga oraz dobrze prowadzonej orkiestrze i chórów przez p. Leszczyńskiego należy tej operze życzyć długich dni żywota na tutejszej scenie.

Z nowych książek.

Bronisław Grąbczewski generał. Podróż do Azji Środkowej. Kaszgarja. Tom I. Gebethner i Wolff — str. 240.

Autor z czasów rosyjskich służył na wschodzie jako administrator prowincji Ferganu, na granicy Chin i Kaszgarji. W książce swej podaje poważny obraz badań tych krajów i ciekawe opisy stosunków rolnych, handlowych, przemysłowych oraz obyczajów miejscowej ludności i sposobów administrowania rosyjsko-chińskiego.

Studjum pisane barwnie ale realnie, nie ma w sobie potycznych kart jak „Kraj bogów i ludzi“ — Ossendowskiego, lecz rozszerza pojęcia czytelników o Dalekim Wschodzie, i czyta się z pożytkiem.

D-r Witold Staniewicz. Matujzy Bołondziszki — wieś powiatu Lidzkiego. Studjum społeczno-gospodarcze. Wyd. z zasiłku Minist. W. R. O. P. Wilno 1923 — 24.

Monografii gospodarczo-statystycznych wcale prawie nie posiadamy w druku. Tem ważniejszą jest każda praca na tem polu, mianowicie odznaczająca się obiektywnością i ujęciem rzeczywistości aktualnej, i jej rozwoju od połowy XIX wieku.

Taką książką jest praca D-ra Staniewicza docenta Uniwersytetu w Wilnie. Obejmuje ona wprawdzie jedną wieś, leżącą blisko obecnej granicy polsko-litewskiej, ale jakże sumiennie zbadana! Tylko na takich podwalinach można zdobyć znajomość ziemi i ludności, stosunków ekonomicznych, etnograficznych i społeczno-oświatowych.

I tylko taka znajomość może być przewodnikiem w projektach do praw i w wykonaniu reformy agrarnej odpowiedniej. W stosunkach Ziemi Wileńskiej jest to pierwsza źródłowa praca. Autor czerpał wzory z literatury odnośnej co do innych dzielnic Polski, z materiałów historycznych państwowego Archiwum w Wilnie i z dokładnej historycznych warunków gospodarczych epoki przedwojennej i obecnej.

Mamy tu przegląd pańszczyźnianych stosunków od 1846 r. zamianę ich na wykup w dekretach Murawjowskich, rozdabianie ziemi, uprawę roli, przemysł domowy, zarobki miejscowe, emigrację, handel, oświatę, stosunki religijne, kulturalne i narodowościowe.

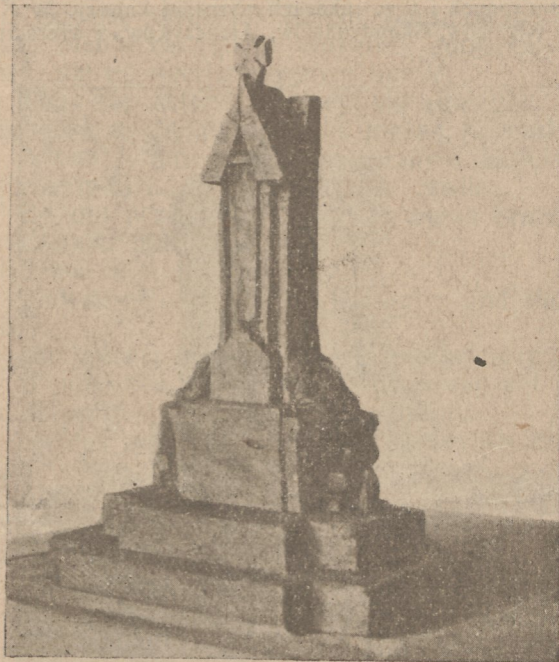
Plany i kilkanaście tablic statystycznych co do podziału ziemi, jej wydajności, podatków, cen na produkta rolne, chowu żywego inwentarza, co do gęstości zaludnienia i podziału ludności według wieku i płci, mówią o sumiennosci dokładnych badań autora. Stosunki oświatowe i wpływy parafialnych proboszczów nie zawsze są wprawdzie w tem zwierciadle pocieszające, ale tem więcej warte zaznajomienia się i z książką i z rzeczywistością.

Gdyby każdy z młodych ekonomistów prawników i właścicieli rolnych zechciał choć z jednego zakątka swego kraju dać podobnie źródłowy szkic stosunków miejscowych, inaczej

napewno wyglądałyby i wybory i projekta do reformy agrarnej.

Juljusz Kłos prof. Uniw. S. B. Wilno. Przewodnik Krajoznawczy. Wydawnictwo Pols. Tow. Krajoznawczego, oddz. Wileń. z zapomogi Ministerstwa W. R. i O. P. Wilno 1923—4. Cena 4 zł. i 50 groszy. Drukarnia J. Zawadzkiego.

Ukazał się w księgarniach długo oczekiwany przewodnik po Wilnie, tak potrzebny tłumnym wycieczkom z całej Polski i zagranicy do naszego miasta. Opracowany nie tylko ze znajomością ale i z miłością dla polskiej kultury i sztuki zaklętej w mury i pomniki wileńskie, zawiera do trzydziestu ilustracji świątyń i pałaców, oraz doskonały w wyrazności swego plan miasta. Przewodnik podzielony na pięć główniejszych części zawiera: I część. Dzieje, obejmują okres przedhistoryczny i historyczny od pogańszczyzny i Jagiellonów, przez czasy niewoli aż



Nr 5. Projekt CZESŁAWA SZEMBERGA.

do dni naszych. II. Dzieje sztuki w Wilnie dają wspaniały obraz jej rozwoju u nas; III. Topografia maluje pojedyncze świątynie, gmachy i cmentarze. IV. Wskazówki praktyczne dają program zwiedzania miasta zaczynając od kilku godzin, oddzielnie to co można zwiedzić przez jeden, dwa i trzy dni. Skorowidze ułatwiają odnalezienie szczegółów opisu. Śliczna okładka wykonana przez prof. Ruszczyca zdobi tę cenną i miłą książkę.

Jadwiga Hłaskowa. Zwycięza Duch — powieść na tle zdarzeń XVII wieku.

Jest to opowiadanie nie pisane a mówione, tyle tu osób ukazujących się niespodzianie i tyle ruchu. Z opisów najwięcej wraża się w pamięć opis Smoleńska i chwili gdy Polacy ustępują a z nimi znikają z tych kresów cywilizacja zachodu, ustępując barbarzyństwu wschodu.

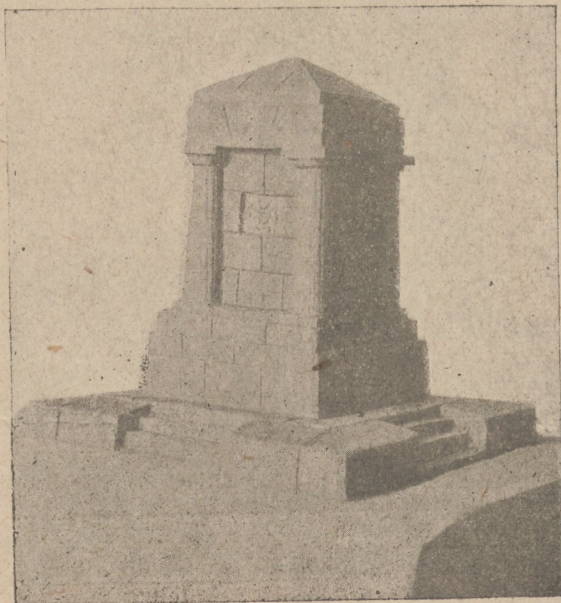
Typy uchwycone doraźnie: kobiety więcej dzielne niż sentymentalne. Zdradliwa i podstępna jedna, i to nie Polka. Czary, i duchy mają tu też swe miejsce ulegając wznowionej modzie.

Czasopisma.

Biblioteka Pomorska. Dwumiesięcznik poświęcony Sztuce, Nauce, Literaturze pod redakcją Aut. Chołoniewskiego. Wąbrzeźno — 1922. (Ziemia poznańska). Rok I. Zeszyt I. Ludwik Stasiak. Weneda.

Oto „granit rzucony pod tęczę“ Słowackiego. Odnalezione twierdzenia starych kronik i historycznych dokumentów o istnieniu zatopionego przez Baltyckie fale słowiańskiego miasta o polskiej kulturze — Wenedy, połacinie Vinety.

Stało ono u ujścia Odry, na wyspie Wolin. Adam Bre-meński i Helmold z XI i XII wieku kronikarze opisują o wielkiej kulturze i bogactwie tego żeglarskiego miasta. Weneda tak jak Szczecin leżały w granicach państwa Chrobrego i Krzywoustego. Gdy ten ostatni wysłał Ottona Bamberskiego aby nawrócił Wenede, Otton mówił kazania po niemiecku, a ksiądz Wojciech, Polak tłumaczył to ludności po polsku, i wtedy jednego dnia 30,000 pogan się ochrzciło. Z opisów tych apostołów wiemy, że lud tamtejszy, ci pogańscy Pomorzanie nie znali złodziejstwa i próżniactwa. Sw. Otton, urodzony nad Renem, i znający sztukę owoczesną francuską opisuje świątynie czyli kontyny pogańskie w Szczecinie i Wenedzie strojne zewnątrz i wewnątrz w malowania, rzeźby i posągi „które zdawały się żyć i oddychać“, a wyobrażały ludzi, ptactwo i zwierzęta. Wspomina też o „zdumiewającej wielkości“ złotym posągu bożka Trzygłowa, o czasach rzeźbionych w słońce, z których można pili, o rogach do grania złożonych i kamieniami sadzonych i t. p. okazach wysokiej kultury. W XII w. napady Niemców, Skandynawów, Duńczyków, a wreszcie ka-



Nr 6. Projekt ANASTAZEGO KOCHANOWICZA.

taklizm przyrody zniszczył jedno z największych miast nad Bałtykiem słynne z żeglarstwa i handlu a świadczące o istnieniu przed XII wiekiem olbrzymiej polskiej kultury artystycznej.

Autor przytacza mnóstwo historycznych cytat badaczy dna morskiego, którzy w późniejszych wiekach ślady murów miasta dostrzegali. Ryciny dzisiaj posiadanych zabytków sztuki polskiej z XII wieku w Gnieźnie, Płocku, w Trzemesznie, świadczą jaką musiała być sztuka tej polskiej Pompei. Wielką zasługą autora jest przypomnienie tego dziejowego faktu.

Polemiczny ton argumentowania, właściwy Stasiakowi powinienby pierwszemu zeszytowi Bibl. Pomorskiej zapewnił popularność. A jednak dotąd o tej książce Wileńskie pisma nie wspominały.

KRONIKA WILEŃSKA.

Ministerstwo W. R. i O. P. z Depart. Szkolnictwa Zawodowego zawiadomiło Kuratorjum Okr. Szkol. Wil., że przy Państwowej Średniej Szkole Ogrodniczej w Wilnie na Sołtaniszkach będą w roku bieżącym czynne dwumiesięczne kursy ogrodniczo-pszczelnicze dla inteligencji. Kursy odbywać się będą od 1-go lipca do 1-go września a więc w okresie gdy nawet nauczyciele szkół powszechnych będą mogli na nie uczęszczać.

Kursy będą prowadzone przez Dyrektora szkoły p. Pawłowicza i odnośne siły fachowe tutejsze i warszawskie. Opłata minimalna, Część zgłaszających się znajdzie pomieszczenie w gmachu szkolnym.

Po ukończeniu dwumiesięcznych kursów ogrodniczo-pszczelarskich słuchacze otrzymują świadectwa od Państwowej Średniej Szkoły Ogrodniczej w Sołtaniszkach.

Na kursach wykładać będą profesorowie Uniwersytetu S. B. Biologie wykładać będzie prof. Wilczyński. Odżywianie roślinami i witaminy, prof. Rettinger.

Popis Szkoły Dramatycznej im. St. Wyspiańskiego w Wilnie. W maju d. 17 odbył się popis w obecności szczegołego grona zaproszonych oraz przedstawicieli Rady Nadzorczej Szkolnej, uczniów i uczenic Szkoły Dramatycznej. Zapoczątkowana w październiku b. r. siłami ideowej jednostki p. Izabelli Dubowikówny, Szkoła pracuje cicho, bez rozgłosu w prasie i w opinji

Kierowniczką, oddana umiłowaniu sceny i podniesieniu poziomu kandydatów, osobiście prowadzi wychowywanie techniczne i moralne ofiarnych pracowników dla sceny polskiej

Kurs trzyletni zawiera: teorię wymowy, deklamację chórów, historję liter. polskiej i powszechnej, dzieje teatru na tle historji, kultury i sztuki, ćwiczenia związane z mimodramą, rytmiką, solfeggio, opracowywanie dzieł dramatycznych, ról pojedynczych, wykłady estetyki i etyki.

Kurs i studjuje starożytny Wschód i opracowuje Grecję. Popis majowy był niejako próbą zbliżających się egzaminów publicznych, jako Wieczór Poezji Greckiej. Słyszeliśmy wyjatki z Homera, Tyrteusza, Simonidesa, Pindara, Sofoklesa, Aischylosa, fragment z Sofony. Całość przedstawiała się dodatnio jako wynik olbrzymiej pracy, wobec naszej kresowej zaniedbanej wymowy potocznej. Dykcja i deklamacyjna ekspresja u niektórych uczniów i uczenic już jest „postawiona“. Epiczne fragmenty z Ilijady i Odyssei wykazywały zrozumienie treści, i dały parę momentów zupełnie ładnych. Z przyjemnością konstatowaliśmy, że starania uczniów idą w kierunku poważnych wymagań Dyrekcji.

Zyczyć należy p. Dubowikównie wytrwałości w tak idejowem poświęceniu się dla sztuki polskiej.

Szkoła Dram. im. Wyspiańskiego ma Radę Nadzorczą złożoną z prezesa Macierzy D-ra Węstawskiego i księży: Senatora Maciejewicza i pośła Olszańskiego.

L. Z.

MYŚLI i AFORYZMY.

Człowiek zabiera z sobą po za śmierć to tylko, czego się wyrzekł w życiu.

Hr. Villiers de l'Isle Adam.

Dla pessimistów, słońce jest tylko przedmiotem rzucającym cienie.

N.

OD REDAKCJI.

Wobec wyjazdu na letnie wywczasy personelu redakcyjnego przerywamy z bieżącym numerem „Promienia“ wydawnictwo nasze na dwa miesiące. Nadesłana prenumerata będzie zaliczoną nadal. Za otrzymane wyrazy zachęty i uznania, za zdanie, że „Promień utrzymuje się na zajętem stanowisku pisma poważnego i wartościowego, w którym niema artykułów pustych“—przesyłamy czytelnikom i prenumeratorom podziękowanie.

Numer bieżący był złożony przed świętami—lecz się spóźnił z powodów od Redakcji niezależnych, i dlatego nie zawiera ostatnich sprawozdań.

Redakcja.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

STANISŁAWA ŚWIĘTORZECKA.

TEN MĘŻEM BĘDZIE.

Poznali się wówczas gdy w sercu Ewy dogasały właśnie ostatnie płomyki „pierwszej miłości“. A dogasały tak szybko, tak bez wstrząśnienia i tak spokojnie, że dziwiła się sama, iż się tak mogło wyczerpać uczucie, które miało być „wiecznem, jedynem i ostatniem“.

Niepodobna było określić, kiedy się to umieranie zaczęło, skąd przyszło, czem się tłumaczyło.

Prosto zgasło. Zgasło, jak niepodsycony ogień. Skończyły się czarne myśli i szloch. Odeszła tęsknota.

Jakiegoś lutowego ranku obudziła się dziwnie rześwa i radosna w sobie.

Jakże miłym młodemu oku wydał się widok misternych kwiatów, wywiedzionych ręką zimy na szybach dużego weneckiego okna. Poprzedniego dnia była odwilż, więc niespodzianką przyjemną objawiły się te wzorzyste desenie, połyskujące blaskiem brylantowych iskier w słońcu.

Przypomniawszy sobie sport ulubiony.

Ach, mknąć, mknąć szybko po połyskliwym, wybornym lodzie!

Bując, jak wielki ptak bezskrzydły, chwiał się, jak trzcina, prostować jak młoda topol, drgającymi nozdrzami chwytać przezyste powietrze, całą pierśią w siebie je chłonać, na zgrabną postać, przybraną w wytwornie skromny kostjum, wszystkie męskie spojrzenia ściągając, podstępnie im się narzucać, a zarazem nic a nic nie dbać o nie!...

Na lekkich, ścigłych nogach cudów dokazywać... Przedmiotem ogólnego podziwu być i zachwytu!...

Jakoż wyjątkowa dnia tego była ślizgawka: pogoda cudna, najlepsi łyżwiarze, doskonała muzyka i niezwykle dobrany, elegancki tłum widzów. Sama elita!

Wprost wilo się od bajecznych toków, piór, futer— w powietrzu krzyżowały się wykrzykniki i uwagi prawie nadsekwańskim rzucane akcentem.

Szmerwały rozmowy. Dyskretnie dzwoniły śmiechy...

Cały zastęp szykownych panów ze szczerem zachwytem przyglądał się Ewie, bujającej naprawdę jak ptak, gnającej się w takt muzyki, jak trzcina młoda...

Czujnych jej uszu raz w raz dobiegały rzucone słowa pochwalcze:

„Charmante... exquisite“!

„Jakaż śliczna“!

„Uważcie ten zwrot i tę gibkość“!

„Ach, jakaż śliczna!“

Ona, jakby nie słysząc, cała zabawie swej oddana, to mknęła w dal, to powracała znowu, zataczała półkregi i koła...

Oto właśnie zbliża się ku rozmawiającym. Śmiegnęły bystre nóżki, w wysokich lakierowanych bucikach, frunęła, ciemnem futrém obramowana spodniczka, nieobecne, jakby obojętne spojrzenie przesliznęło się po uperfumowanym tłumie...

Tłum się uciszył, zachwyt się wzmógł... Kilka naście głów pochyliło się przed piękną łyżwiarką.

A ona?.. Śmiechem wewnętrznym zaśmiała się cała, rozbłysła i... zmieszła się na chwilę...

Bo oto twarz jedna — dobrze znana twarz.

Głęboki ukłon.

Błysk oczu.

I błysk ostrych białych zębów z pod ślicznego wąsa.

Coś mówią, mówią szare drapieżne oczy...

Z policzków dziewczyny z wolna spływał rumieniec. W sercu dziwny czynił się spokój...

Swoich oczu już nie cofa, w dawniejszym popłochu. Skinęła dumnym ruchem główki, zakłótyła się, jak łabędź, jakimś cudnym gościem pół twarzy w mufce ukryta... Z nad mufki zdały się mówić iskrzące oczy.

— Widzisz, jakam jest wdzięczna i ładna...

Ten pochwał szmer czy słyszysz? Jestem tą którą po raz pierwszy o miłości z ust twoich się dowiedziała, tą samą, która wczoraj jeszcze przez Ciebie płakała tyle. Dziś już nie płaczę, widzisz?.. Tą samą jestem Ewą, lecz jakże inną!..

Bo istotnie niespodziewanie dla siebie samej uczuła się inną, nadszpodzianie wyzwoloną z nurtującej serce tęsknoty, z podgryzającego życie smutku.

Uczuła się, jak przed rokiem, kwiatem rozkwitłym bujnie, który mógł oto zerwać każdy z tych eleganckich panów, jeśli ona na to udzieli swej królewskiej zgody.

Uczuła się znowu ptakiem wolnym, niefrasobliwą łanią leśną, co niezna pana...

W owej chwili bowiem skończyło się w jej życiu jedno.

A równie niespodziewanie zaskoczyło ją drugie.

Loża pierwszego piętra.

Galowe przedstawienie „Aidy“.

Ewa w białej wyciętej sukni z pękiem bladoróżowych róż u gorsu siedzi obok matki na przodzie łoża. Za krzesłem Ewy, pochylony ku niej młody mężczyzna — wysoki, rosły — jeden z tych, o których mówi: „bardzo przystojny“.

Niedawno poznany, obojętny najzupełniej, wgląda wyjątkowo szykownie w nieposzlakowanym, doskonale skrojonym frakowym garniturze „od pierwszorzędnego krawca“, z bukietem białych fiołków w butonierce.

Podoba się dziś Ewie.

Panie, wchodząc do łoży, znalazły na jednym z foteli wiązanek róż i cukierki...

Uśmiechnęły się do grzecznego kawalera. Tylko w uśmiechu matki zaświeciła dyskretna zachęta.

W uśmiechu Ewy dziecinne jeszcze zadowolenie. Obrzuciła młodzieńca wzrokiem: „Jaki przystojny“ — pomyślała.

Tymczasem z parteru przyglądano się im ciekawie. Dziesiątki lornetek obróciły się ku pięknej pannie na jedną króciuczną chwilę.

Potem ukłony... uśmiechy...

Wreszcie uciszyło się wszystko.

Na sali mrok. Kurtyna się podniosła...

Uwertura...

Płyną perły melodji niezrównanych.

Historja dwóch serc się rozsnuwa...

Poznanie...

Zachwyt...

Miłość...

I nieodzowne, nieodzowne cierpienie...

Ewa słucha...

W antraktach przez łożę tych pań przesunął długi korowód młodszych i starszych mężczyzn. Odnawiano dawne znajomości, nawiązywano nowe. Kadzidlany szmer uwielbień popłynął ku ślicznej dziewczynie. Szczęśliwemu wybrańcowi losu, który w tej łoży zostanie, gdy oni wszyscy stąd wyjdą, zazdrościł niejeden.

A ten podziw ogólny, to powszechne uwielbienie i ta jasna niechęć współzawodników uczyniły swoje: Zdzisław przestał się wahać. Już go nie powstrzyma brak posagu.

Mieć musi tę śliczną...

Popłynęły znowu ze sceny tony przeczyste, tony wysokie i gorące.

Napięcie uczucia rośnie.

Wzbierają napiętności.

Gotuje się dramat.

Serce Ewy boleśny pierścień uciska...

Wicher oderwanych myśli przelata przez głowę...

Rzeczywistość z uludą spletała się dziwnie...

Ewa w wyobrażeniu staje się bohaterką, odegrywającego się na scenie dramatu: dzieli mękę Aidy, znój uczucia, tragedję powikłań, szal rozpaczny... Ach tak kochać... tak cierpieć... nawet umrzeć... Ewa słucha... Aż w pewnej chwili spłynęły duże łzy na białą sukienkę panią.

Zawstydzona odchyliła się szybko na oparcie fotelu i... zamarła nagle, przejmującym ogarniętą wrazeniem: wzdłuż ramienia i na obnażonym karku uczuła, dotknięcie gorącej ręki Zdzisława, której ten zdjąć nie zdążył z oparcia, a teraz z usunięciem jej nie śpieszył zachwycony.

Przyzwoitość, dobre wychowanie nakazywało Ewie cofnąć się i wyprostować na siedzeniu. Wiedziała o tem. Lecz coś niepojętego, magnetyczna siła jakaś zmusiła ją pozostać tak, prawie w objęciu obcego zupełnie mężczyzny.

Cała krew z policzków dziewczyny zbiegła do serca. Mgła przysłoniła jej oczy...

Pulsa nieznośnie, ciężko zabiły w skroniach... Rozkosz z boleścią pomięszała się dziwnie... Łkania wzbierać zaczęły.

Płacz dziewczęcej duszy, w niewolę branej, piersi rozrywa. Przeczucie zbliżającego się życia przeraże-

niem zdejmuje. Ewa już wie, że nastąpiła chwila, od której zależy wszystko: cóż więc uczyni?..

Czy zbieże siły, targnie sobą i wyrwie się z pierścienia niezdrowych wrażeń, któremi spletał jej wolę ten prawie nieznamy człowiek? Zbierzę siły i wolna odejdzę? czy też tak pozostanie, chwilę tę przedłużając jeszcze i w nieskończoność?..

Ewa wie, że od tego, jak się teraz zachowa, zależy cała przyszłość, całe jej życie.

Lecz się nie waha: wybrała.

„To ma być Mąż“.

Wybrała.

Jednak, jakby się obawiając wyczytać jakąś nieznaną sobie jeszcze prawdę w oczach, których zarzuje poza sobą, nie odwraca głowy, chociaż ręki zwieszanej bezwładnie wzdłuż sukni nie cofnie, gdy w chwilę później siedzący za nią pan poszuka jej dłoni, w swoje ręce ją ujmie i do gorących ust podniesie: wybrała.

Ten Mężem jej będzie.

I oto tak, niespodziewanie dla samej siebie, przestała Ewa być ptakiem wolnym, niefrasobliwie bujającym w błękitach, przestała być łanią leśną, co nie zna pana...

Romans Kościuszki.

W duszy Tekluni zapanowała cisza, jakby jakieś niewidzialne skrzydła srebrnopióre otulały ją nadzieją i harmonją.

Tylko, nigdy, nigdzie, nikomu!..

Nagle, z szerokich przestrzeni wiatr przyniósł echo trąbki wojskowej.

Zerwała się z kolan.

To On wraca! Tak. To Bohater już jedzie. Jest.

I jak biały gołąb frunęła przez rabaty i aleje ogrodu i zatrzymała się u wrót sztachet mimo których przejeżdżać miał konny oddziałek wojska. Gdy się zbliżyli, bezwiednie stanęła pod kolumnami ganku, na którym już gromadzili się ludzie.

— To cześć oddana bohaterowi to... to nic innego, bo... nigdy, nigdzie, nikomu... przeleciało jakby dalekiem echem w głowie dziewczęcia.

Kościuszek zatrzymał konia, i z otoczeniem swem wstąpił do gościnnego dworku, submitując się pani Chorążynie.

Nagle, drgał i zwrócił się ku grupie panienek.

Oczy Tekluni lśniły takim morzem radości i tęsknoty a uśmiech jej wysłany ku niemu mówił tak wyraźnie o szczęściu z widzenia go nareszcie, że Generał „ostupał z zadziwienia i rozkoszy“, jak mówią badacze jego biografii.

Wieczór ten był zwrotną chwilą w życiu obojga.

Generał który marzył przez wszystkie swe lata o miłości, o życiu obok ukochanej kobiety w cichym gnieździe rodzinnem, uległ urokowi rozmarzonej dziewczyny. Zaczęło mu się zdawać, że może to Niebo zsyła wreszcie jemu nagrodę za lata tułaczki, i walk za Ojczyznę i dla Ojczyzny, za wycierpiane upokorzenia i sprzeciw losu, który go zostawił samotnym w południe lat znojących.

Zakochani po rozmówieniu się z sobą udali się ostróżnie do matki — w której Generał wyczuł przy-

jazną tolerancję, ale od której oficjalnie nie mógł otrzymać zezwolenia. Zależało bowiem wszystko od Jegości pana Ojca.

Do czasu postanowiono utrzymać tajemnicę przed nim i przed innymi. Tylko panienci Anusia i Teklunia zostały zawiadomione o tem co się stało przez chorążankę, brat zaś chorążyny Rafał Wisłocki przez nią samą, a porucznik Kniaziewicz przez Generała.

Było to małe sprzysiężenie przeciw naczelnikowi rodu którego z czasem miano nadzieję obłaskawić dla projektów zakochanych.

Jeden tylko nie potrzebował wtajemniczenia w tę sprawę: doktor Hackensmidt wiedział co o tem myśleć i postanowił działać samodzielnie.

IV.

Chorąży Żorawski niewiele różnił się poziomem umysłu od ówczesnej szlachty. Walki „za wolność ludu“ nie pojmował w zasadzie, a potępiał w praktyce. O drugiej półkuli ziemskiej i o Ameryce ogół drobiazgu szlacheckiego nic nie wiedział, a Chorąży choć nieco o tem słyszał i wiedział, udawał lekceważenie i oburzał się na młode stronnictwo Sejmowe, które pópierało „włóczęgów po obcych kątach, co szlachecką krew za gmin przelewali“.

Tak się wyrażał o Kościuszcze. I szczerze myślał, że ten człowiek albo musiał być zepsuty do gruntu, albo miał krew lada jaką.

To też kazał sobie ze wsi sprowadzić Herbarz Niesieckiego, szukał w nim pilnie, czytał i znalazł tam ród Kościuszków, herbu Roch z Siehnowic, jako starą dobrą szlachtę. Irytował się szczególnie orderem Cynycynata przyznanym generałowi. Stało na nim wypisane: „Omnia relinquit servare rem publicam. — Wszystko porzucił dla sprawy publicznej“.

Cóż to za sprawa publiczna... gmin ciemny?! To jest republikański fanatyzm! Tak to nazwał nawet król Jegomość.

Burzyła się krew starego szlachcica.

Roboty sejmowe, żądające ofiar na wojsko i reform w podatkach — to było targnięcie się na jego krwawo zapracowane mienie. Sarmatyzm starego despoty piętnował wszystkie innowacje młodego stronnictwa sejmowego i utrzymywał, że to się wylęgło nie w Polsce.

O ten import zagraniczny podejrzewał każdego kto przybywał z „cudzych krajów“ a jeszcze zamorskich, o których „nikt nic nie wie, prócz tego, że to jest węzowisko republikańców“!

Kursował wtedy między szlachtą odpis listu z Ameryki, pisanego przez Pułaskiego do siostry.

Przeczytał go i Chorąży.

Zwierzał się w nim bohater, że „obyczaj moje nie mogą się zgodzić z humorem tutejszym — wszystko mi przeciwne. Jednak jeszcze przyszedł kampanji bawić tu będę, a dalej, jeśli będzie można, hadlować zacznę, co tu jest najużyteczniejsze“. Ten list przeczytał był ale pamiętał jakie oburzenie wywołał on w nim i w całej szlachcie.

Pułaski jako porządny człowiek ganił Amerykę, a jednak dał się zatruć jej powietrzem i publicznie oświadczył się nawet z gotowością kupczenia. I oto, rycerz Barski nie brzydził się już pokazać się światu z łokciem i miarką w rękę!

I głuchy gniew wzbierał w Chorążym na taką „korrupcję principów“.

Pamiętał, że na wieść o śmierci Pułaskiego, jeden z wybitniejszych szlachty województwa Podolskiego, publicznie dziękował Bogu, że nie dał się zbłąźnić reprezentantowi Rzeczypospolitej w tej zamorskiej krainie, i pozwolił mu poledz tam na polu bitwy jak człecowi rycerskiemu przystało.

Z początku Chorąży myślał, że nawróci Generała na „pocziwość szlachecką“. Toczył z nim więc długie dysputy o niebezpieczeństwie sejmowych innowacji, zakończone uśmiechem ze strony przeciwnika, który nie chciał zrażać do siebie Ojca Tekluni, a przekonać go i dostroić do ducha czasu — stracił nadzieję.

Zwierzał się Chorąży ze swej niechęci do niebezpiecznego republikańca jedynie doktorowi, — który nie tylko potakiwał, ale wyprzedzał wszelkie czynione Generałowi zarzuty, stawiając suppozycje najgorsze.

Tymczasem, między zakochanymi zaczęła się korespondencja tajna w której pośredniczyły przyjaciółki Tekluni, i adjutant Kniaziewicz.

Z pozostałych bilecików i listów dłuższych, przy częstych wyjazdach Kościuszki na inspekcję wojskowych placówek, zachowało się czternaście.

Teklunia pisywała dorywczo na prędce, najczęściej ołówkiem i zakochany skarżył się, że wyczytać niezawsze może.

W odpowiedzi prosił więc: „pisz wyraźniej! połowę ukontentowania utracam, a jeśli ołówkiem, to go umocz w wodę, to się litery nie tracą“.

Uwielbienie i przywiązanie jego zdobywało się czasami na prośbę: — „Przyszlij mi jeden korał z szyi twojej“.

W korespondencji jego przebija zawsze troska nie egoistyczna: „Niech Opatrzność w płaszcz szczęścia zupełnego obwinie Ciebie, a o mojej stateczności, przyjaźni, i szacunku, bądź zawsze przekonana“.

Czasem przebijał w tych listach ton gorętszy: „Jeszcze raz niech cię pocałuję. Odchodzę, ale w myśli zawsze jestem obok /ciebie. Jeszcze raz bywaj zdrowa“.

Niekiedy uderzał w ton przestróg iście mężowskich:

— „Zabawiaj się czemkolwiek, rysowaniem, albo książką, czy ogródkiem, abyś zdrowia nie straciła, które jest największym darem natury. Szanuj zdrowie swoje i niech szanuje matunia nasza dobra. Żeście pojechały o dwie mile na obiad, bardzo źle. Cztery mile w pół dnia — dla słabej, to bardzo wiele! Jeszcze powstała burza, a wy bez zamkniętego pojazdu. Zapewne matka na głowę, a córunia na piersi skarżyć się będą“!

I dodaje z iście wojskową energią:

„O, bić potrzeba względu nie mających na siebie“.

Ciągle się troszczył tylko o swa wybraną. Raz jeden nadmienił o sobie:

— „Smutno coś mnie jest: delikatność z czułością w nienajlepszej harmonji. Ty pochlebiasz sobie, że znasz mnie dobrze. Jeszcze nie wiesz względnej mej niespokojności“.

Mimo próśb matki o zachowanie ostrożności, zaczęto powszechnie mówić o romansie. Generał uspokajał matkę:

„Da Bóg, spodziewam się, że przy niewinności naszej, szczypiące honor drugich żmijki, w ciemności zawsze zostawac będą przed prawdą, której światłość im jest szkodliwa. Noce im są przyjazne, jak sowom i nietoperzom, ale dzień nadejdzie i znikną. Dnia

zawsze się trzymajmy, a Bóg nam dopomoże. Oddaję Was Opatrzności“.

Generał rozumiał doskonale kto wszelkie wieści ujemne o nim rozgłasza. Ale obie i matka i córka broniły Hakenszmita. Więc wycofywał swe przeciw niemu argumenta i pisał: „Wierzyć każecie w Hakenszmita — wierzę. Niemam do nikogo zawziętości“.

Teklunia błagała Kościuszkę o wyrozumiałość dla Ojca i jego sposobu argumentowania w dysputach. Generał odpisał:

„Czynić będę co chcesz, i jak najgrzeczniej obchodź się, a jeśli powie coś przeciw memu przekonaniu, ugryzę się w język, ale nic nie odpowiem“.

Doktor raz wystąpił przed Chorążym z rewelacją o sentymencie Generała dla Tekluni. Stary despota zburczał Hakenszmita i posądził go o utratę zdrowego sensu.

Przecież on najprzódby o tem wiedział, i pierwszy dostrzegł!

Zaniepokoił się jednak, gdy Generał z Zamku, gdzie mu było niewygodnie, przeniósł się do miasteczka, niedaleko od pp. Żurawskich. Wtedy stary jął coś przeczować i wszystkich podejrzewać. a za wszystkich pokutowała żona, znosząc wymówki i sceny najcierpliwiej.

Wydana młodo zamaż, sama nie zaznała nigdy szczęścia opartego na miłości, drząc ciągle przed swoim władcą i panem. Postanowiła poświęcić się dla córki i poprzeć wybór jej, oparty na wzajemnem uczuciu. Czekala tylko chwili sposobnej.

Matka — troszczyła się o szczęście dziecka.

Kobieta — czuła się zachwyconą delikatnością uczucia, i czarem jaki rozlewa miłość.

Polka — uwielbiała w Generale bohatera kochającego Ojczyznę.

Wiosną 1791 roku, w kilka miesięcy po porozumieniu się z Teklunią i jej matką, Kościuszko postanowił wyjaśnić przed przyszłym teściem swoją kandydaturę na zięcia. Targany przeczuciami komplikacji politycznych w obec bliskiego ogłoszenia konstytucji chciał znaleźć uspokojenie w ustaleniu losu osobistego. Sytuacja w domu Chorążostwa stawała się nie do zniesienia. Doktor i podwładny mu felczer szpiegowali poprostu Generała i Teklunię. Matka coraz trwożliwsza. znosiła stek brutalnych scen od męża który rozsiewał terror wokoło stałym złym humorem.

Kościuszko więc, napisał do groźnego despoty list który wpieryw dał do przeczytania Tekluni, i w nim oświadczył się Ojcu prosząc o rękę córki. List brzmiał:*)

„Od jednego Pana łaski zawisł mój los, w jego rękę uszczęśliwienie moje. Zapewne poznajesz, że kocham J. W. Chorążankę, a że chciałbym być jej przyjacielem dozgonnym, jemu się zwierzam. Znanie sentymenta jego, charakter, i sposób myślenia, zupełnie się spuszczam całkowicie na jego układ, woję i urządzenie. Wierzę, że uszczęśliwiając jedną osobę, nie zapomnisz o drugiej. Jeżeli pozyskam jego aprobatę, a która z pierwszego poznania, wraziwszy w sercu mojem winne uszanowanie, chciałaby przydać przywiązanie synowskie aż do śmierci. Nie omylisz się J. W. Panie w niem na niczem. Zawsze otwartość

z prawdą idzie, nie obojętność, albo uleganie okolicznościom, ale wdzięczność w każdym czasie nieprzerwana za okazane dobrodziejstwo“.

Wybuchła burza po tym liście. Chorąży rozchorował się i położył do łóżka, nie dopuszczając przed oblicze nikogo prócz doktora.

Służba chodziła wylękniona, obie panie płakały, a doktor Hakenszmit po całym miasteczku opowiadał o oburzeniu Ojca, który konkurenta nazywał „holyszem, bałamutem, zepsutym starcem“.

Plotki te powtórzono Generałowi który zgryzł się bardzo, i przestał bywać u pp. Żorawskich. Napisał jednak do panienki: „Niech pokój z Ojcem będzie — niemam zemsty w sobie. Największą przeszkodą jest Hakenszmit: kochając się sam, przeszkadza drugim ta litera H. Lękam się o twoją matkę: niech się ona nie gryzie impetem niespokojnego dla swej choroby — niech pamięta, że zdrowie swe dla dzieci szanować winna“!

Chcąc ostatecznie wyjaśnić i zakończyć sytuację, Kościuszko posłał do Chorążego dwóch ludzi poważnych: brygadiera Jana Potockiego i kasztelana Onufrego Morskiego, a sam wyjechał z Międzyboża na objazd wojskowy na dni kilkanaście.

Potocki, dawny znajomy Chorążego przekonywał go, że Kościuszko nie „holysz“ i nie „włóczęga“ — ale osiadły szlachcic — i że oświadczyń jego nie ujmę, ale zaszczyt rodzinie Żorawskich przynoszą.

Stary pozieleniał ze złości i odrzekł, że córka jego jest za chorowita na niewygody życia wojskowego, a zmuszony przez Potockiego odwołał ubliżające Generałowi przezwiska, gdyż zrozumiał, że to groziło honorową rozprawą, która mogła okryć go śmiesznością a zaszkodzić opinii Tekluni.

Drugi medjator Kasztelan Morski sciągnął jeszcze sroższy gniew starego, wychwalając Generała o którym cała Ameryka mówiła z uwielbieniem. Właśnie owa „Ameryka“ była największym postrachem despoty.

I darmo później sama Teklunia padła Ojcu do nóg z błaganem o przyzwolenie, a chociaż „sam się rozplakał ale serce jej raził dotkliwie“ i zamknąwszy się w komnacie, napisał do Kościuszki list, odbierający mu wszelką nadzieję.

Generał z godnością i spokojem odpisał, prosząc o pozwolenie dalszego bywania, gdyż ma nadzieję, że Chorąży poznawszy go bliżej — zdanie swe zmieni.

To podejrzliwego starca naprowadziło na myśl, że Generał może mu wykr. śc. córkę. Zaczął osobiście przechadzać się pod oknami swego mieszkania okazując ostantacyjnie, że dom jego jest pilnowany.

Kościuszko w liście do Tekluni oburzał się na takie podejrzenie: „Co za myśl okrutna pisał, krzywdzić tak siebie i nas! Mój Boże, jażbym miał prawa natury rwać, i pomimo Ojca, wyrwać z domu moją ukochaną“!

Stary tyran znalazł w końcu sposób przerwania tragedji serc zakochanych. Wywieziono Teklunię do dóbr w Galicji, położonych za kordonem.

(Dokończenie nastąpi).

*) Listy Kościuszki wydał L. Siemieński.

P-041475

**KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA**

WILNO, UL. ADAMA MICKIEWICZA 6.

ZAOPATRZONA W BOGATY DOBOR
OSTATNICH NOWOSCI KSIĄŻEK i NUT.

PRZYJMUJE PRENUMERATĘ NA
DWUTYGODNIK „PROMIENŃ“.